

PIŁSUDCZYCY



J.KADEN-BANDROWSKI

PIŁSUDCZYCY

ODBITO
W DRUKARNI NARODOWEJ
W KRAKOWIE
OKŁADKA
W. J. GORYŃSKIEJ

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

PIŁSUDCZYCY

WYDANIE NOWE

WARSZAWA 1936
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA



CM 313711

JULJUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO

NIEZGULA, powieść, Lwów 1911, wyczerpane
ZAWODY, nowele, wyd. II. Warszawa 1922
PROCH, powieść, wyd. II. Warszawa 1921
ZBYTKI, nowele, Kraków 1914, wyczerpane
PIŁSUDCZYCY, wyd. V. Warszawa 1936
ISKRY, Wiedeń 1915
BITWA POD KONARAMI, Wiedeń 1915
MOGIŁY, wyd. II. Lublin
SPOTKANIE, nowele, Warszawa 1917, wyczerpane
ŁUK, powieść, wyd. II. Warszawa 1929
WYPRAWA WILENSKA, Warszawa 1919, wyczerpane
PODPULKOWNIK LIS-KULA, wyd. IV. Warszawa 1936
WIANKI, Warszawa 1920, wyczerpane
WIOSNA 1920 ROKU, Warszawa 1921, wyczerpane
RUBIKON, nowele, Warszawa 1921
GENERAL BARCZ, powieść, wyd. II. Lwów 1930
WAKACJE MOICH DZIECI, nowele, Warszawa 1924, wyczerpane
PRZYMIERZE SERC, nowele, wyd. II. Zamość 1930
MIASTO MOJEJ MATKI, wyd. IV. Lwów-Warszawa 1934
W CIENIU ZAPOMNIANEJ OLSZYNY (z cyklu: Miasto mojej Matki), wyd. III. Lwów-Warszawa 1934
EUROPA ZBIERA SIANO, Lwów-Warszawa 1927
NAD BRZEGIEM WIELKIEJ RZEKI, wyd. II. Lwów-Warszawa 1935
RZYMIANIE WSCHODU, Warszawa 1929, nakł. Sekcji Bibliofilów Pol. Uniw. Warsz.
NA PROGU, Warszawa 1928, Gł. Ks. Wojsk.
LENORA (z cyklu: Czarne skrzydła), wyd. II. Lwów-Warszawa
TADEUSZ (z cyklu: Czarne skrzydła), Lwów 1929
STEFAN ŻEROMSKI, Lwów 1930
TRZY WYPRAWY, Lwów 1930
PIÓRO, MIŁOŚĆ I KOBIETA, Lwów 1931
ZA STOŁEM I NA RYNKU, Lwów 1934
ACIAKI Z PIERWSZEJ A, Lwów 1932
BUDUJMY SZKOŁY, Warszawa 1933
MATEUSZ BIGDA (Z cyklu: Czarne skrzydła)
I. Grunt, Warszawa 1933
II. Masło, Warszawa 1933
III. Spizarnia, Warszawa 1933

WBREW WSZYSTKIEMU

ZA WSZYSTKO

Na stronicach tych zawarty jest tragiczny a zarazem jakże radosny okres wojowania polskiego, spełniony podczas światowej wojny, między rokiem 1914-tym a 1916-tym.

Od człowieka, który wojowanie to przewidział, rozpoczął i chlubnie ku bohaterskim końcom wiódł, nazwani zostali Jego żołnierze Piłsudczykami. Nazwa ta zdała się meżom politycznym owego czasu nader niestosowną.

Gdy autor tej książki zjawił się w roku 1915 ze szpargałami feljetonów, notatek i fragmentów w jedynym wówczas wydawnictwie polskim, które sprzyjało orężnej walce, czcigodni szefowie tegoż wydawnictwa narwoływali niżej podpisanego, by swej książki, złożonej z obrazków frontowych, nie gubił tak niewłaściwym tytułem.

Powiadali: — Cóż to za tytuł, Piłsudczycy?! Owszem, bardzo to ładnie — sądzili —

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 104 /2011/ CM

że wy, żołnierze, kochacie i rozstawać chcecie pana brygadiera. W Polsce jednak nazwisko to nie tłumaczy się i wcale nie jest znane. Nikt nie będzie rozumiał o jakich ludziach pan opowiada, gdy ich pan nazwie jakimiś tam Piłsudczykami!

Niżej podpisany upierał się, że książka nie może mieć innego tytułu, wówczas zaś wytrawni męzowie, — jak zwykli zawsze czynić w podobnych przypadkach: Na dobro samej sprawy zaklinają, dla którego to dobra poświęcić należy osobę.

Przytaczam ów epizod dosyć znamienity przy narodzinach tej książki nie dla jakowychś porachunków z ludźmi małej wiary, ale, by dzisiejsi czytelnicy zrozumieli z tego właśnie incydentu, w jakich warunkach działały się pierwsze sławne wydarzenia i trudy nasze, spoczywające dziś, niby wieczysty zapas siły i entuzjazmu, u podstawy wszelkich owocnych działań w Rzeczypospolitej.

Nic to wówczas, lub jakże niewiele znaczyło dla mężów tego kraju, że się tu znalazł ktoś taki, kto wzniecił bohaterską rewolucję, bojowców na ulicę wyprowadził i w miastach

znieprawionych działał ogniem. Pierwszy raz szarpnął łańcuchami, skrwawił się wielce, lecz nie upadł i jeszcze raz zaczynał od początku i znowu młodzież zebrał, pielgrzymującą po wszystkich krańcach świata, by ją uczyć: Uczyć posłuszeństwa, weselości i śmierci, — czyli sztuki zwyciężania.

My jedni, Piłsudczycy, rozumieliśmy wówczas wagę sprawy i męża. My jedni, porwani płomieniem czynu i ofiary, my legioniści nieśmiertelności polskiej porzuciliśmy wszystko inne i nie tylko świat cały, lecz nawet owoczesną Ojczyznę naszą, — by służyć lepszej, przyszłej naszej Ojczyźnie!

Na tym to szanścu oddział nasz trwa po wieki w historii wyzwolenia narodów. Na tym szanścu, jak równy równych, wita najwyższe czyny bohaterstwa. Z tego szanśca Odrodzonej Polski, jak równi równych, witamy dzieje współczesnego świata.

Taka była ówczesna nasza postawa moralna w wojnie wszystkich ze wszystkimi o wszystko. Taka była tragiczna radość Piłsudczyka: Że trwał samotnie w ciągu dwóch lat śmiertelnej walki i tak wreszcie szedł na

najcięższą rozprawę pod *Kołodziejami*, wyzuty z wszelkich sankcyj, odznak i zaszczytów, wobec ognia i śmierci zarwiedziony we wszystkich nadziejach, — tylko jeszcze w honorze żołnierskim żywy i wiarą w wodza swego szczęśliwy.

Radości tej, ofiarom, męstwu, najtajniejszym zwątpieniom, najtkliwszym wzruszeniom miałem zaszczyt i niewymowne szczęście towarzyszyć pracą swoją pisarską.

Nie nadarzyło mi się to wcale z przypadku, lecz przysposobili mnie do tego zadania działacze rewolucji 1905-go roku, później zaś popchnął już na tę drogę i ku ludziom tego czynu sam instynkt pisarski.

Powie tu ktoś, że z tak wielebnych przygotowań wyszło dzieło nader ułomne, znaczone na każdym kroku doraźnością chwili, niezbudowane, niezłączone, niesprzęgnięte, artystycznie niedojrzałe.

Przyznam, iż w dziele tem więcej jeszcze zapewne wad, niż w którymś innem, bo wciąż było najzarliwszemi słowami pisane i wciąż się wymykało onym słowom.

Dopiero w tem wydaniu, — gdy już prze-

brzmiały echa marszu i walki, gdy już kamienne pomniki wzniesiono na miejscu, które dawniej przekazywał potomności ciosany krzyż żołnierski, — dopiero teraz mógł autor pomyśleć o złączeniu w jednym tomie dawnej treści *Piłsudczyków* z fragmentami konarskimi i z opisami dalszych późniejszych okresów.

Jakże tu więc mówić o jednolitości stylu, czy budowy?

Rozpoczyna tę książkę szereg portretów żołnierskich. Umieściłem je kiedyś na początku, teraz psuje to może układ całości. Lecz przecie autorowi zdało się wówczas, iż niepodobna, by żołnierze ci przemijali, porwani trybem wojny a nie przekazani zostali społeczności choć jakim takim urokiem słowa polskiego.

Zdało się też autorowi, że ludzi takich, którzy na szanćcu najwięcej zagrożonym najpierwsi stanęli, ukazać trzeba zestrachanemu społeczeństwu ówczesnemu co prędzej, jako przykład!

Lecz cóż? Ledwie ich zdążył pisarz kilku linjami zarysować, gdy spadło na niego zrozumienie przedziwnej syntezy zbiorowego

ruchu wojny. A potem znowu, — ledwie te sprawy jako tako pochwytął, gdy nagła bitwa znów przemieniła wszystko.

Trzebaż wiedzieć, pamiętać, iż w okazanym tu patosie i czułości tkwiły inne pobudki od artystycznych: Żołnierze opisani na tych kartkach byli w Ojczyźnie swojej prawie samotni!

Bano się ich w ich własnym kraju, niby upiórów najsmutniejszej przeszłości, jakże często żałowano im pomocy, czyż nie wzdrgano się chować ich w poświęcanej ziemi?!

Słowa nasze, pisarzy legjonowych, miały zastąpić wówczas to wszystko, co poza Wodzem i męstwem stanowi otuchę żołnierza. Słowa nasze miały zastąpić wówczas miły głos Ojczyzny. Czyż mogliśmy zadaniu temu sprostać?

Nigdy.

A tu jeszcze warunki techniczne, które przytaczam, teraz głównie dla niezrównanej słodyczy wspomnień owego czasu: Jeżeliście spostrzegli, że na tych stronach upada styl a tu już zgasł a tam się splątał nieporęcznie, a tu znów dziesięć sztrychów tę samą linię

złobi, — przyjmijcie pod uwagę, iż na ten właśnie opis wysypała się beczka z cementem, przeznaczonym do budowy granatników.

A ówdzie pisać nie można było, gdyż działa się to w stajni i koń długim ogonem raz po raz gasił świecę... A tu urwana jest rzecz cała między jednym a drugim rozkazem, a tu znów wciąż strzelali, tu deszcz zalewał skrypty, tam z domu wyskoczyć trzeba było, gdyż pocisk wyrwał wszystkie szyby. A tu rozłożył człowiek papiery, lecz zasnął i, jak zgoniony pies, zalał je własną śliną, a tu szły takie straty i taki ból i zgroza, że pisało się z płaczem, nie widząc nawet, jakie słowa przechodzą po papierze.

Czyż są jednak warunki, któreby dziełu przeciwstawić się mogły istotnie? I czyż były warunki lepsze, niż ruch, ogień, odwaga, ziemia, niebo i śmierć? Nic tu nie zawiniły warunki, okoliczności, oraz okolice, — rozłogi Kielecczyny, skały Podhala, czy też przestronne pola sandomierskie, lubelskie, lub też Łąki Wołynia.

Zawinił tylko autor, porwany mocą i szlachetnością czynu. Albowiem doznać takiego

szczęścia i takiej łaski losu, aby zrozumieć, iż w jednym małolicznym zastępie szalonych zapaleńców, — gdy zewsząd suną najpotężniejsze siły świata, — że w takim jednym zastępie zamieszkała Ojczyzna sama! I tu cała Jej przyszłość! Zrozumieć to i chcieć wyrazić — jest nad siły pisarza.

Jeżeli jednak szybkość pojęcia takiej sprawy i tych ludzi niezrównanych przyczyniła się choćby w czemkolwiek do ułatwienia działań, które przedsiębrali, — niechże przepada piękno najcudniejszego tworu sztuki, o ile miałyby zakwitnąć później dopiero, ze skarbów przemilczenia. W takich bowiem chwilach jak tamta, lepiej w najdrobniejszym obiegu słowa wszystko z siebie wydać, niż skąpić dla późniejszego piękna.

Bo jakąż w końcu wyższa jest dola słów nad wspomóżenie czynu?! Tak więc o czyny chodzi tutaj, nie zaś wcale o wyraz. Słowo moje było tych czynów cieniem. Patrzmy na przykłady, które, marzyłbym na stronicach tych podać następnym pokoleniom.

Gdy jednak mówię, — następne pokolenia, — leci zaraz z tych stronic czas w nie-

znaną przestrzeń tajemniczej przyszłości i powtarza w przelocie niecofniętym: O cóżto walczyć będą owe pokolenia?

Gdy nas nie stanie, gdy już zarośnie droga naszych trudów, gdy się wyrówna przepaść, którą wyrównać trzeba było naszym wielkiem cierpieniem?! O cóżto walczyć będą?

Zaprawdę, gdyby nawet następcom naszym wypadło walczyć o sprawę dziś nieistniejącą, nieprzewidzianą zgoła, niepojętą, niechże słyszą pośród nowych obrotów nowych dróg, owo wyznaczenie Piłsudczyków, rzucone w ognistym czasie wojny ludziom, Ojczyźnie, światu: **WBREW WSZYSTKIEMU — ZA WSZYSTKO!**

Juljusz Kaden-Bandrowski.

Warszawa, 1936.

JÓZEF PIŁSUDSKI

Orzeł — w lochu piwnicznym, czy też orzeł na poddaszu, czy też orzeł, ptak herbu świętego, wyrzucony z tła pysznych amarantów na bruk.

Tyle rozpaczy w tem, ile grozy w łomocie skrzydeł pośród ciasnych mroków. Tyle w tem gwałtu, ile być może rozpędu bolesnego w ciasnej klatce poddasza. Tyle w tem gniewu i zemsty, ile się znaleźć musi w krokach sprawiedliwości, której drogę przemieniono w niewolę.

Jeśli tu kto rozumieć pragnie Piłsudskiego z czasów wcześniejszych, niechże się stara wyobrazić orła w piwnicy, na poddaszu, orła wśród pięter fabryk, ducha, który duszy i pracy milionów zapragnął zwrócić kradzioną godność, zwrócić imię i cześć.

Oto jest może taka właśnie podwalina przygotowawczej działalności Piłsudskiego.

Budować narodowość w kolisku trudu najcięższego, by z niej najwyższą cześć wydobyc.

Było to rzeczą niełatwą, jeśli się przypomni, że idee, które gdzieindziej przekwitały już w formach gospodarki ludów, u nas były wciąż jeszcze niedościgłym marzeniem!

Przekwit ów stwarzał już na świecie ideologję niecierpliwą, ogromną, która wedle pewnych postulatów nowej nauki, wcześniej czy później miała zatriumfować. Na mocy tej ideologii ludy Europy dokonałyby dobrowolnego przewyciężenia różnic wzajemnych — do którego mybysmy mieli przystąpić — nic nie przewyciężywszy.

Socjalizm miał być ową falą sprawiedliwości, któraby nas z innemi, zdrowemi narodami w wieczność rozwoju poniosła, — jako kaleki. Więc, aby Polskość nie stała się znakiem opóźnienia, trzeba było przyjąć socjalizm i jak chlebem obdzielać nim rzesze.

Lecz znów, aby socjalizm nie był w Pol-

sce kalectwem, trzeba było w jego poglądach zastrzec miejsce, w którym dojrzewałaby rzetelna polskość trudu.

Piłsudski rozumiał, jak mało kto w Polsce, że hasła, to tylko umowne formy postępowania. Rozumiał, że nikt, kto życie tworzy, niewolnikiem hasła nie zostanie, jako iż nie jest dana niewolnikom współpraca w dojrzewaniu nowych form i idei. Rozumiał, że kto tworzy życie — nie zleknie się pozorów tradycji.

Zaczął stwarzać taką ideologję Ojczyzny, która z potrzeby i praw pracy wyrasta — i rozpętał przeciw sobie wszystko, co było pod władzą panującej teorii lub zgniłego przesądu.

Swoi wyrzucali mu, że jest kosmopolitą, obcy, że narodowcem, patryjotą, że socjalistą, socjaliści, iż właśnie patryjotą. Zarzucali mu pochopnie wszyscy wszystko o tyle słusznie, że czuli w tym człowieku, jako w ogromnej mocy, — niebezpieczeństwo prawdy.

Jego socjalizm niezawsze wygadzał socjalistom, jego narodowość zbyt się wy-

magającą widziała narodowcom, albowiem wszystkie hasła grały w tym wielkim człowieku jednym głosem losu Ojczyzny.

Tu sięgamy najgłębszej tajemnicy Brygadjera, której nie da się wyjaśnić ani rodowodami, ani pochodzeniem ze starej szlacheckiej rodziny, ani odbłaskiem wspomnień z 63-go roku, ani żadnemi wpływami.

Jak się ma talent słowa, myśli, muzyki, barwy, tak się ma i ten najsroźszy talent, jaki wydestylować się może z soków ziemi i oddechu niebiosów, — talent rozumienia Ojczyzny.

Talent ów, gdy Polska jest jego treścią, wymaga cnót osobliwych. Należy mieć upór i cierpliwość przerażającą. Należy tak celowo i drobiazgowo wczuwać się w rzeczywistość, aby w splocie działania codziennego być ponad nią. To znów rzeczywistość ową uprzedzać najpowszechniejszemi szczegółami uczynku i potrzebną nagle jej istotę samemu wywoływać z nicości.

Jakże tu, ile razy minąć wypadnie owe — niebezpieczeństwo prawdy?!

Widziałem Go przemawiającego na kongresie partji robotniczej w Krakowie. Szumne, gwałtowne brawo zgasło nagle, gdy się ukazał. Był wtedy żywym wyrzutem pokoju Polski.

Człowiek ten miał tragiczne zaiste szczęście być srogim wyrzutem pokoju swojej Ojczyzny. Gdy zjawił się — bił od niego na ciźbę strach, jak od kogoś, kto w imię najwyższego prawa kiedyś rozkaże!

Niebezpieczeństwo prawdy... Gdyśmy się zebrali, wycieńczeni, skrwawieni po Łowczówku, po którym każdemu, kto tę bitwę przetrwał, kilka lat życia przybyło... Czy w nas było znać wtedy w Lipnicy, gdyśmy tam stali w nijaki, siwy dzień, w opuszczonej szkole zebrani na zgromadzenie oficerskie, — czy w nas znać było jakąś butę, czy też zbyt śmiałe poczucie zasługi, czy też może Komentant uprzedzić pragnął naszą krwawą pychę bitewną — dość, że się wdarł w serca nasze kilku słowy tak, — iżeśmy w jednej

chwili pojęli: Łowczówki mogą być dniem codziennym i to jest nic, jeśli Sprawa żąda więcej!

Mówił nam wtedy gorzkie słowa: — »My, żołnierze, spełnimy prosty nasz obowiązek, choćby to miało kosztować hekatombę trupów...«

Niebezpieczeństwo prawdy: w rozchwianym narodzie, niby w wątlej krzewinie, miecz utwierdzić, naradę opieszala, jak to było w sierpniu, nagłym odlotem trzystu orłów zamknąć. Kartę starą przewrócić, na nowej miecz położyć — zrzucicież z tej księgi miecz, — czy kto potrafi?!

Idziemy więc za Wodzem wszędzie drogami marszów, polami bitew a wśród wieczornej pogwarki przy świecach przylepionych do deski jest Jego duch nad nami. Wy zaś, wy wszyscy inni musicie kochać naszą zbrojną kompanję, która Mu towarzyszy.

Aż obcy, tak nam bliski — w blasku tego oblicza srogości, które wyobrażano



w Polsce na konterfektach, gdy Batory na Moskwę szedł.

Dziś On, rzeczywisty Gość z kresu, co wszystkie kresy łamie, prowadząc w bezkres rozmachu i powagi i zwycięskiego śmiechu, — idzie pierwszy przed nami.

Idzie pierwszy, spokojnie, pewnie, szybko i śmiało patrzy w groźne oblicze niebezpieczeństwa prawdy.

PIŁSUDCZYCY

Ludzi tych wzięła już na ogromne swe skrzydła Historia i nikt jeszcze nie wie, na wyżynę jakiej zasługi ich poniesie. Teraz stoją w kurzu i dymie, w trzasku i zgiełku walki, we wszystkich wspaniałościach i w całej grozie wojny. Mogą powiedzieć, że spełnili wielkie przeznaczenie, co więcej, że przeznaczenie to odkryli krótkowzrocznym oczom swych braci.

Mogą powiedzieć, że towarzyszyło im od zarania poczętego dzieła wszystko, co towarzyszy trudom bohaterów. Jeślibyśmy żyli w czasie legend, to legenda potężna owionęłaby głowy tych żołnierzy już za ich życia, bowiem legendarne jest, czego dokonali.

Idą w huraganach boju, szeregiem, który coraz śmierć rozrywa, nie pomni śmierci, a tak pewni powołania swego,

jak ludzie, którzy wieczną tajemnicę i prawdę posiadli.

Prostą tajemnicą ich i słuszną prawdą jest, że w boju jedynie, w przelewie krwi, w doznaniu śmierci, żywy naród ma prawo sięgać po sprawiedliwość. Prawdę ową głęboką uczynił Piłsudski podwaliną młodego militarizmu polskiego.

Wojnę prowadził Brygadjer i jego oficerowie i jego żołnierze, nim jeszcze wojna wybuchła: wojnę z niedość skorem do czynu społeczeństwem, z obojętnością i z drwinami, z brakiem środków materialnych na prowadzenie organizacji, wreszcie skrytą, straszliwą wojnę z ustrojem państwa rosyjskiego, na którego przestrzeniach wiązali ustawicznie sieć bojowego pogotowia Polski.

Tę sieć nieraz udawało się wrogowi rozerwać. Trzeba było mieć olbrzymią moc ducha, by wówczas pracy nie poniechać w obawie dalszych ofiar.

Siła rozumu, hart serca, cierpliwość planu i rącość w jego wykonaniu, to zasadnicze cechy charakteru Piłsudskiego.

Kto chce Go widzieć w całej prawdzie, niech patrzy podczas bitwy: gdy praca Brygadjera, gdy wysiłki całego życia, gdy idea wszystkich jego idei — gdy I-sza Brygada I-ego Legionu idzie w ogień. Tylko wódz urodzony może z takim humorem, z taką radością i szczodrobliwą pychą ślać najdroższych sobie ludzi do walki.

Najdroższych! Wszystkich zna oddawna, pracował nad nimi, gdy jeszcze na ławie szkolnej siedzieli, potężną dłonią wtłaczał ich w swe karby, gdy byli na uniwersytecie.

Bitwa już rozpoczęta... Piłsudski stoi przed kwaterą (śnieżne zbocza gór widnieją dokoła), jedną ręką na płocie wsparty, drugą głaską lekko po ramieniu wyprężonego, jak struna, dowódcę bataljonu.

Bataljon gotów, czeka za chałupami, żołnierze, oparci na karabinach, dopalają ostatniego papierosa.

Brygadjer — jakby o wiele starszy brat młodszemu bratu dawał serdeczne rady — mówi cierpliwie swe rozkazy.

Armaty ryczą ustawicznie, palba karabinowa nieustannym klekotem tłucze się po śniegu, to tu, to tam rozlega się przeraźliwy pytel karabinu maszynowego.

Piłsudski, w szarem futerku, z twarzą myśliciela i drapieżnika, zadumany, romantyczny, przedziwny w swym spokoju: jakby tu przybył zdaleka, dostojny, doświadczony opiekun, przyjaciel i powiernik wielkiej sprawy...

Rozmawia z oficerami, z wdzięcznym humorem przyjmuje meldunki, idzie patrzeć jak biją granaty (biją one o 50 kroków od kwatery) i śmieje się, że takie ogromne dziury wyrywają z ziemi.

Nie znać, że człowiek ten równocześnie prowadzi bitwę. Nie znać dlatego, że czyni to z ogromną łatwością i z fenomenalną intuicją. Dopiero, gdy nieprzyjacielowi przybywają znaczne posiłki, gdy Komendant czuje, że Jego szeregi walczą z przeważającą znacznie siłą, zmienia się...

Poczyna wówczas chodzić przed kwaterą tam i napowrót i coraz dalej w stronę

walki, jak gdyby wleczony przemożną żądzą niesienia bezpośredniej pomocy swym oddziałom.

Widziałem Go, jak szedł tak prosto na strzały ku kochanej piechocie swej, wpisany w sykliwą parabolę biegu granatów, z fruującymi nad głową obłokami szrapneli, szedł zgóry, w słońcu, po śnieżnej drodze, natchnionem jaśniejący obliczem.

Zsunięte nad oczami brwi, nieruchome były jak brózda. Oczy niebieskie, bystre, straciły już w tej chwili złotą iskrę dobrotliwości i humoru. Okrutna twarość i najszanowniejsza troska biła z tych romantycznie niebieskich źrenic. Pochylony naprzód, z czołem tak pięknie sklepieniem, iż wyklucza ono wszelką pomyłkę planu, szedł, jakby śpieszył ojciec na pomoc, gdyby tam przed nim dzieci jego walczyły.

PODPULKOWNIK SOSN- KOWSKI

Innym od Brygadjera jest nieoceniony jego zastępca, podpułkownik Sosnkowski.

Któżby przypuścił, że ten surowy, wysoki, pysznie zbudowany oficer, pamiętający w przeciągu długiego czasu każdą minutę wydanego rozkazu, nazwę każdej miejscowości, rozmieszczenie każdego plutonu w czasie walki, że ten tak surowy szef sztabu jest zamięłowanym wielbicielem sztuk pięknych! Kocha muzykę, lubi szarówką dopaść fortepianu na kwaterze i grać Schumana, Szopena, obchodzą go najżywiej nowe szkoły malarskie, a literaturę rozumie, jakby się miłości słowa uczył we Francji.

Podpułkownik Sosnkowski jest świetnym typem inteligenta polskiego. Talent do sztuk pięknych, zamięłowanie do klasycznego kierunku myśli, znajomość za-

gadnień filozofji współczesnej, chęć radości życia w najgłębszym sensie tego słowa — wszystko to wtapia Sosnkowski w swą twórczość wojskową. On to w wytwornym a pewnym ręku trzyma całe sznurowanie władz. On wprowadza młodzież polską w godność i ład szeregu.

Wojnę odczuwa głęboko i czule, jak tragedję, lecz widzi cel, który przyświeca wojnie i to każe mu wszystko dla niej przewyciężyć. Ze względu na ów pierwiastek walki duchowej i przewyciężeń, jest Sosnkowski postacią wdzięczną i dramatyczną w najgłębszej pełni wyrazu.

Kto go widział, jak po długim, upartym boju szedł na czele I-go Legjonu daleką drogą, smukły, strojny, spokojny i podniosły, ten może powiedzieć, iż widział, jakie szczęście daje spełnienie obowiązku i jak silnem echem gra ono w szeregach...

MAJOR ŚMIGŁY

A teraz wy, panowie oficerowie piechoty, obywatele kompanijni, obywatele plutonowi, wpleceni w kolumnę, wy, których światem jest bataljon, domem kompanja, całą rodziną pluton!

Spełniacie trud olbrzymi, mało promieni sławy dający, a straszną pracę. Jesteście solą rozprawy wojennej, kamieniem węgielnym wszelakiego oporu i pierwszym, nieodżałowanym celem szturm! Wy, oficerowie piechoty, najtragiczniejsza i najgłębsza poezjo wojny, niewielcy sławą, a tak wielcy zasługą!

Obraz ładu, porządku i szyku podczas najtrudniejszych warunków i bitwy najmężniejszej znajduje się w Brygadzie, zawsze w III-cim bataljonie, u majora Śmigłego.

Trzeci bataljon stanowi jakby gwardję I-go legionu. Tam, gdzie uderza Śmigły,

tam musi być wynik dodatni, tam, gdzie on gospodaruje — musi być spokój i ład.

Major Śmigły należy do rzędu tych oficerów piechoty, po których nigdy nie znać zmęczenia, którzy nigdy nie są niepokojni, a walkę prowadzą konsekwentnie, niczem wykład treściwy. Po kilku dowodach, nieprzyjaciół rzuca potrójne okopy i rozumie naukę na długo.

KAPITAN BERBECKI

Oto wraca po bitwie kapitan Berbecki. Przez kilka godzin z jednym plutonem zasłaniał przemarsz bataljonu. Gryzł się z Moskalami ząb za ząb, piędź o piędź; w kurzu, w prochu, w trzasku broni i wrzasku »hurra« coraz szedł na bagnety. Wraca, niosąc cztery karabiny i kilka rewolwerów. Taki jest skrzętny, że w czasie śmiertelnej walki zdążył popodnosić karabiny, pozbierać rewolwery, gdyż broń ceni jak chleb i nie ścierpi, by miała walać się po ziemi.

Dziad jego w 1831 roku służył w Strzelcach Zielonych pod Koziętulskim, ojciec w 1863 roku w partji Kruka. Kapitan Berbecki, sztabskapitan rosyjskiej piechoty, został pięcioma orderami odznaczony za męstwo w wojnie rosyjsko-japońskiej.

— Czemużecie tak dzielnie walczyli dla Rosjan? — spyta ktoś kapitana.

— Bo nam mówiono — odpowie — że wszystko popsują ci na »cki i na ski« (t. zn. Polacy). Zresztą, gdy wasza kompanja, gdy 200 par oczu patrzy na was z ufnością, trudno zawieść zaufanie żołnierzy, choćby obcych.

Wraca kapitan Berbecki przez las dymiący ze swym bataljonem. Rozkazy do odwrotu dał wtedy dopiero, gdy zoczył, że już jest otoczony. A chociaż otoczony, długo jeszcze rozkazu nie dawał, bo go nie doszło nic w tej mierze z komendy głównodowodzącej.

Nie doniosły stamtąd żadnej wiadomości patrole, chłodem śmierci stygnące na martwym polu...

Idzie tedy, tnąc się z wrogiem, ku głównej kwaterze, choć wie, że nikogo tam nie zastanie i zastać nie może. Tam pustka, — w sieni kręci się wiatr, w kątach pożar już tli.

Dopiero, gdy kapitan posłuszeństwu i najdroższym jego pozorom oddał, co należy, cofa się z czterema karabinami

na ramieniu i z pękiem pozbieranych rewolwerów w garści.

Taki jest kapitan Berbecki.

UŁANI

Po Was, twarda piechoto, idą, którzy są żywą pieśnią polskiego oręża, nie-milknącym wspomnieniem serca, źródłem młodzieńczych marzeń, młodem tętnem polskiego boju — ułani!

Ułani, których — jak się sam wyraża rotmistrz Belina — kleił w ogniu po jednemu, po dwóch, aż do obecnego splendoru dwóch szwadronów!

Dziś jest to stary, doświadczony oddział. Żołnierze ci nie wiedzą, co znaczy czegoś nie znaleźć, lub nie znać jakiejś drogi, lub nie trafić, lub wogóle czegoś nie móc.

I to wszystko koń w konia, chłop w chłopca, oficer w oficera! Belina jedzie przodem zwięzły, zwarty w sobie. Bystrzemi oczyma niebieskimi patrzy przed siebie drapieżnie, niczem żbik.

Lisowczyk, jakże go nazwać inaczej, — Lisowczyk!

Za nim ogromny porucznik Dreszer, z piersią pod pancerz urodzoną, mąż twardy, gwałtowny, honorny, istny smok, gdy rusza do ataku. Czy też podporucznik Lewandowski z szelmowskim, kochanym uśmiechem w najgwałtowniejszym ogniu. Albo wielki podporucznik Wieniawa, tyleż mężny, ile dowcipny — dowcipem całą brygadę do śmiechu skłonić zdolny. Albo młody, uroczy, piękny porucznik Grzmot-Skotnicki jeżdżący wśród kul, jak na garden-party.

I inni, wszyscy ważni i najważniejsi, choć bezimienni, od krańca oddziału po kraniec i przez całą Brygadę, — którzy sprawiają, że szczytna duma, jak gwiazda płonie nad szeregami, a sława ojców opuszcza stare czasy i wraca żywa między gromadę synów.

S Ł A W E K

Jeden z tych ludzi, dla których wojna będzie już tylko łatwym aktem, uroczystością nieomal zewnętrzną w stosunku do pracy i roboty, jaką poświęcić należało dla powstania uroczystości — dla przygotowania owej wojny...

Jeden z tych ludzi, co się wzięli z uporu i cierpliwości Piłsudskiego; gdyby o wdzięk charakteru pytano — jakoby kwiaty, lecz kwiaty o trwałości żelaza.

Przypatrując się robocie Sławka, pochodowi tej duszy zawartej w jasności i w zwykłości, pragnęłoby się rzec: odpocznij, zatrzymaj się w tej pracy!

Lecz nie i nie, nie może tu być zatrzymania. Te kwiaty żelazne wzrastając, zwyciężają wszystko, jakby wreszcie ich kielich potężny miał wmieścić w sobie wszystek błękit najdroższej Ojczyzny!

Kwiat kuty w ogniu, hartowany żarem niepokoju, studzony w wodach śmierci: człowiek poszarpany ogniem, a w głębinie tych cierpień, roziskrzony duch.

Nie przeto jednak zrasta się później ciało, iżby spocząć, lecz aby świadectwo dać, że niema skutecznego ciosu i kalectwa przeciw woli...

Po okresie walk rewolucyjnych jest Sławek głównym pracownikiem w Skarbie Wojskowym: zebrać wiele pieniędzy na broń, na ogień i iść po nowe rany. Oszczędności, skąpstwu ludzi leniwych tłumaczyć rzecz wspaniałą, przeciwstawiając im swą twarz surową, od blizn błyszczącą, jak pocisk.

Nie dziwota, — żołnierze, — że nasz mundur nosi Sławek, jak żaden z nas nosić go nie potrafi. Mundur, który dla nas jest strojem walki, jest dla niego odzieniem odświętnem, bo walka, którą wiemy teraz, to wesele w porównaniu z tą, jakiej przed nami Sławek był pierwszym żołnierzem.

Zjawia się, znika, jest wszędzie czuwający, iżby się rozrastał na niezaradnej polskiej krainie kwiat kuty w ogniu, hartowany żarem niepokoju. Iżby z słabości niewolnego piachu wyrosła wreszcie więź mocy prosta, tak żywa, jak ręka po walce złożona na bijącym sercu.

KAPITAN ŚNIADOWSKI

Główna kwatera stała w Miechowie, poszczególne oddziały parły naprzód. Wtem na rynek, na stary miechowski rynek, który ongiś szturmowali powstańcy, wjechał oddział modny i strojny, w bogatym szamerunku.

Oddział, na widok którego nam, chudym wilkom, ubogim oberwańcom w głowie się mogło było zawrócić. Jechali znużeni, — kawalerja, — jakby po bitwie, pośnięci na siodłach, ale mieli rzemyk w rzemyk, spinka w spinkę, guzik w guzik błyszczące w słońcu, — jedno pieścidło wojenne! Na niebieskich czaprach, wyciętych w stary szpic, granatowe litery, — czegoż to były inicjały?!

Jechali, jak po bitwie, a tacy dostatni i zamożni, doprawdy z nieznanego dla nas świata.

Sokoli, to przyjechali Sokoli!

Zbuntowani Sokoli, którzy się z polityką swoich partyj rozeszli i do nas przymknęli. Gnało do nas owe bractwo trzy dni i trzy noce, by iść do walki a już raz za sobą zostawić ten ul huczącej i opieszalej narady!

Panicze — bo to wszystko wyglądało jak panicze — zlazłszy z koni posnęli na schodach, we framugach, na bruku, ale jakby przez otwarte we śnie usta wciąż jeszcze nową prawdą tchnący...

A czoła w słońcu.

Kapitan Śniadowski, — on ich tu przyprowadził, — w pełnym rynsztunku wszedł do kwatery głównej, wyrznął w ostrogi przed Komendantem, który go przyjął — właśnie jakby się dopiero co rozstali.

Na popielatej od kurzu twarzy Śniadowskiego czerwieniły się bezsenne, krwawe oczy. Stał pod słońce, obwiedziony srebrną lamą blasku, ciężki i zamaszysty w rajtarskich rękawicach.

Piłsudski przyjął niespodziewany melodunek spokojnie, nad falą wielkiej radości nie zechciał ni sekundy zabawić,

wyznaczył czas odpoczynku, miejsce na kwatery dla oddziału i rozciął wszystko przeszłe i całą przepaść takiej tam przedwojennej polityki rozciął jednym rzutem ręki, oddając ukłon za ukłon posłuszeństwa.

Kapitan Śniadowski stał jeszcze chwilę na baczność, pyszny i groźny w swem nowem posłuszeństwie, rzekłbyś goniec ze świata, który stare tradycje oddaje w powołane, ileż mocniejsze ręce.

KAPITAN BRZOZA

Jeśli wadliwie nawet mówi po polsku, to znajdzie inną wymowę mocniejszą, — wymowę ognia.

Komendant Brzoza nie wypowie czterech zdań, byście w nich cudzoziemskiego nie słyszeli akcentu, lecz posłuchajcie jego polskiej retoryki, gdy wam wytoczy armaty na otwartą pozycję i zacznie bić!

Jakież to świetne i donośne deklamacje!

Armatki były stare i złe, jak złe stare psy. Armatki prochem dymnym strzelające, każdym strzałem zdradzały swe pozycje. Strzelać z nich znaczyło tyle, co wątpliwą śmierć zadając, skrzydłami dymu drogę pewnej śmierci ku sobie pokazywać.

Wozić te stare szczekadła, taszczyć ze sobą wszędzie! Narychtować tę zbieralinę starych luf w obliczu nowych, świetnie zbudowanych dział znaczyło tyle, co

na kucykach iść w zawody z końmi pełnej krwi.

Więc nie iść w te zawody?

Iść tak, jak idzie Brzoza z swarliwym trzaskiem ognia.

Już doszedł... Wali z tych komicznych armatek tak blisko nieprzyjaciela, iż ten bierze chmury dymu za wybuch własnych szrapneli.

Stare psy warczą, świszczą, nieznosnie kichają niedołącznym ogniem i żelazem. A Brzoza, nierozumiejący niebezpieczeństwa śmierci, sam ową śmierć siejący, chodzi wśród tego gospodarstwa i mówi pysznym akcentem dział, w którym słysząc przecie pogłosy wartkiej wymowy Bema!

SIEROSZEWSKI

Sieroszewskiego widziałem pierwszy raz w kochanych Oleandrach. Kuchtą wtedy był przy szkolnej kompanji (tak właśnie kolej dyżurów szła). Widziałem, jak uwiijał się po podwórzu z ogromnym baniakiem, czy kotłem i szorował jego zamorusane wnętrze, drobny, mały, jakby lada chwila miał się w tym kotle schować.

Znajomi wołali do niego coś przez parkan, on zaś wesoło odkrzykiwał schylony nisko, z nabiegniętymi żyłami na skroniach.

Rozprostował się wreszcie. Wtedy uderzył mnie blask jego oczu. Te oczy wychylają się ponad szkła i mierzą, na co patrzą i wyrażać się zdają zawsze: myślałem, że to coś trudniejszego, tymczasem to nic, zaraz się da zrobić...

Stał utyłany w piachu, w poplamionym mundurze, spocony. Nie będę mó-

wił, że przez żołnierski strój przebijało świetne powołanie wielkiego pisarza.

Stał nad garem warzy żołnierskiej stary, prosty wiarus — ach, naprawdę — ten sam, który co pokolenie wraca do młodego pokolenia i namawia i wzywa i rozkazuje: Rzucaj książkę i ruszaj w pole! Trzeba się znowu bić!!

Drugi raz miałem okazję widzieć Sieroszewskiego w dzień, w którym zerwano most na granicy.

Tłumy wówczas biegały po rynku krakowskim, snując się pod staremi bramami. Słońce świeciło wspaniale, dzień był piękny, jak tylko może być na Rynku, gdy złotą lamą kontury wież obwiedzie. Sieroszewski szedł ulicą Sławkowską, uśmiechnięty i gadał do samego siebie. Szedł tupiąc po bruku, — ze szklami i z czapką na bakier. Jedną ręką wymachiwał zamazyście, a na ramieniu niósł tylko co kupiony karabin Manlichera.

Tak musieli wyglądać starzy żołnierze Wielkiej Rewolucji, tak musiał wy-

glądać szaraczek szlachcic brat, gdy z garłaczem pośpieszał do Kościuszki.

Wiem, — choć ci dziś powiedzą, że to nieprawda, — wiem, że się z Sieroszewskiego opodał stojący ludzie śmiali. A on szedł z polską, zamazyście, łabatym krokiem, oczyma wszystkich witający: — myślałem, że to coś trudniejszego, a tymczasem to nic!

Później biegał z posyłkami, jako dyżurny ordynans na Komendzie Placu w Parku Krakowskim.

Tam wypadło nam razem pisać odezwę, nagwałt, raz dwa, w ogrodzie za kantyną.

Siedliśmy na beczkach, czy też pakach, Sieroszewski zabierał się do pisania jak chłop do jedzenia, z westchnieniami, utyskiwaniem i śpiewnie się wypraszał: — Dosyć już w życiu pisałem, nie umiem teraz, mam ręce do karabinu, nie do pióra...

Jeszcze później spotkaliśmy się na wiecu, gdzie przemawiał do ludzi, nad którymi pracował od wielu, wielu lat. Do ludzi, którym wiele razy życie po-

święcał i więcej od życia, bo całą swą pracę i najserdeczniejszą myśl.

Rzecz się działa w miejskim ogrodzie. Sieroszewski stał na ławie, wówczas już w mundurze kawalerzysty i jasnym głosem, w którym tętni dal długiego wygnania, oraz prostota, oraz świeżość wyjaśniał zebranym dokoła, czem jest dla Polaków państwo rosyjskie.

— Czyż chcecie pozostać niewolnikami? — zakonkludował.

Prawda, że to było jeszcze wtedy, gdy najsprzeczniesze sądy ścierały się u tylko co rozwartych progów wojny. Dość, że mu ludzie nic na pytanie nie odrzekli.

— Czyż chcecie zostać niewolnikami? — powtórzył.

Milczenie.

Wówczas ujrzałem, że na błysk sekundy życie zamarło w Sieroszewskim. Zachwiał się na ławie. Twarz jego zbladła śmiertelnie, oczy zgasły. I miały opaść ręce... Lecz w ruchu tym miał opuścić się, — grube i twarde palce chwytem żołnierskim bluzę tylko obciągnęły. Mała po-

stać wyprostowała się znów i głos, pełen wielkiej dali wygnania, znów płynął nad tą rzeszą i znów żywa iskra żrenicy wyrażać się zdawała: — myślałem, że to coś trudniejszego, a to tymczasem nic...

DOKTÓR ROUPPERT

Zmartwiłby się dr. Rouppert boleśnie, gdyby wiedział, że jest na niego ułożona śpiewka bardzo zła i że niejeden warczy, gdy widzi ogromną sylwetę doktora, przemijającą w marszu.

— Łapiduch, psia krew — wołają za nim.

Nie jednego ducha udało się Rouppertowi złapać... Ale na to trzeba walki ducha! Trzeba mieć serce kamienne dla *człowieka*, gdy ma być czułe dla *Sprawy*...

Skądże o duchu mowa, gdy rzecz idzie o gospodarstwie ciała?

Może doktor maruderom, którzy wypadają z kolumny, powiedzieć, łamiąc ich słabość i litość własną zwalczywszy: — Musicie iść, możecie jeszcze... Gdy się ktoś waha, gdy się czyjś duch i hart z słabnącem ciałem zмага, może doktor

powiedzieć: — Jesteście zdrowi, wracajcie do ognia!

Gdy wódz prowadzi walkę z wrogiem zewnętrznym, cały ciężar walki z nieprzyjacielem wewnętrznym spada na doktora. Gdy tamten na krosnach sławy haftuje dowód męstwa, ten przy lewej stronie owej roboty czuwa, związując supły i węzły, o których nigdy nie napisze historia, a które, by zadzierzgnąć — trzeba wielkiego poświęcenia...

— Ja muszę być zły — powiada doktor. — Obowiązkiem moim wymagać przecież od ludzi, nie od żołnierzy, od ludzi — zawsze więcej, niż od siebie wymagają.

JUR-GORZECHOWSKI

Szef żandarmerji polowej, Jur, gdyby mógł, wymagałby od ludzi mniej, niż oni sami od siebie. Dlatego tak go wszyscy lubią i cenią na srogim posterunku żandarmskim.

Jur dobrze wie, co to są żandarmi! Przecież pewnej nocy, jako żandarm, wywoził z Pawiaka dziesięciu towarzyszy on przecie, baron Budberg!

Więc dzieje się w Brygadzie tak: zbroiłś coś człowieku, — Bóg wie co. Niepokój cię ogarnia i wyrzuty sumienia! Nareszcie przychodzi wyzwolenie: szef żandarmerji wzywa.

Będzie burza, z której ty wyjdiesz jako pokrzywdzony nader wielką surowością, czyli że ostatecznie sprawiedliwość będzie przy tobie.

Stałeś przed obywatelem Jurem. A tu on z tą twoją srogą winą, jakby nie umie

sobie radzić. Kiwa głową, zda się, wyczesać chce tę winę ze swej brody, patrzy na ciebie przez okulary dobrei oczyma jak gdyby wuja, fundatora, czy też brata starszego i wymierza ci tem najcięższą, ale też najszlachetniejszą z kar: zawstydzą cię dobrocią, jęcząc tylko nad tobą serdecznie i czule:

— Bracie kochany!...

DOKTÓR KUKIEL

Po tylu, tylu, tylu wiecach, po tylu przemowach, zjazdach, konwentyklach, dyskusjach, sporach, rozłamach, zerwanych mityngach, czyż może nadejść jeszcze spełnienie naszych marzeń?!

Dr. Kukiel czuwał, aby nadeszło: mówił, czytał, pisał, ile się tylko dało. Mówił, tnąc ostrzem swego kostycznego humoru i szybko toczonymi słowami uśmierzając przeciwników. A równocześnie, jakby w nadziei, że obcowaniem z bronią przeszłości przywoła broń teraźniejszości, — zagłębiał się w historję oręża i broni polskiej z przed stu lat.

Aż odwrócił się czas tych wszystkich przygotowań i oto dziś szabla się stała rzeczą codzienną, śmierć zwykłą, rana — pospolitą.

Tem niemniej, szczęście nie raczyło się jeszcze uśmiechnąć: Kukiel nie poszedł

na linję, został na etapie, jako komendant placu. Jakże go gryzło to oficerstwo urzędnicze!

Hałasował po biurach, wystawiał kwitki, przepustki, szare, papierowe ciasto wojkowego etapu w miarę zagniał, w skrytości ducha zazdroszcząc pierwszemu lepszemu szeregowcowi I-szej Brygady, który wraca z linji.

Napisać atlasowemi literami — »linji«. Tyle w tem dumy i prostej satysfakcji!

Może sobie na nią pozwolić byle kto. Może sobie pozwolić, że idzie wśród czyściutko ubranych, najedzonych funkcjonarjuszów etapu, oberwany, utyłany w błocie, głodny, znużony, dymem i potem cuchnący, a przecie pan! Bogacz, któremu za całe bogactwo starczy kartka komendanta bataljonu, gdzieś w polu wypisana. Bogacz, pan, szeregowiec z linji, — szary powszedni dzień wszystkiego czasu wojny.

A Kukiel, który polskich bojów wyczył się tak znakomicie, ma teraz żywe

i świeże boje za linją pieczętować atramentem?

Nareszcie uśmiechnęło mu się szczęście, — został przeniesiony do linji. Suchą jak pergamin twarz historyka osmala wiatr, świszczący w okopach, a nie gnębi już tęsknota ze starej historii wiejąca.

Bystre oczy nie kartę badają, lecz teren. Tkliwość i wzruszenie ogarnia Kukiela, gdy spadną na niego wszystkie uciążliwe kłopoty gospodarki kompanijnej i wszystkie komendy i wszystkie podziały wojkowego pożytku.

Kukiel raduje się tą rzeczywistością za wszystkie bezorężne lata polskie, cieszy się za cały czas żarliwych słów i mów. Czuje się jakby dzieckiem, młokosem wobec młodziutkich, a starych doświadczeniem żołnierzy — i to jest piękne. Moznaby powiedzieć, że mądrość ksiąg, ścisłość teorii, giętkość nauki czuje się w osobie doktora Kukiela dzieckiem — gdyby te cnoty zestawić z doświadczeniem ludzi, którzy umieją szturm zawsze wykonać, a nie potrafiliby go nigdy opisać.

GRUDZIŃSKI

Ożyły wtórnem życiem stare nazwiska w pseudonimach młodych pierwszych strzelców, a pseudonimy te — to były chyba godła poetyckiej siły w uczynek przemienionej.

Były to godła romantycznej rewolucji słowa polskiego, która poprzedzała czyn.

Jest taki oficer w Brygadzie, który marzenie o broni hodował w łunach poezji polskiej lata całe, oficer, którego broń spoczywa zawsze na rozwartej księdze wieszczów.

— Nie wiem, coście pisali i nie wiem, co piszecie i co piszą nasi młodzi — mówił mi porucznik Grudziński — od lat już nie czytuję nic prócz Słowackiego i taktyki.

Nie poznać w Grudzińskim jego lektury, wierszy i uniesień. Jest silny, zwięzły. Twarz blada, jakby w szarym ka-

mieniu ciosana. Na wąskich, zaciśniętych ustach cisza i rygor, tylko w oczach głębia i przestrzeń, i jasne, drżące natchnienie.

Tak chodzą ci żołnierze po okopach, a dusza się w nich miota młoda, zwycięska, poetyczna.

SATYR-FLESZAR

Na zakręcie, we frontowym rowie, zjawia się niespodzianie człowiek, jakby z piaskowca wykuty, barczysty i spokojny, o twarzy dziwnej, powiedziałbym nieodgadnionej: komendant VI-go batalionu Satyr-Fleszar.

Satyr: trudno było o stosowniejszy pseudonim.

Czoło ogromne, nasuwające się na oczy w dużych, ciężkich zwałach. Na czole guzy, dwa, duże, grube, aż błysk wydające. Pod jasnym, szerokim kłosem brwi oczy daleko od siebie rozstawione i skośne, zielone, zimne, o nagłych blaskach. W cieniu głęboko wykrojonych nozdrzy usta blade, cielistego prawie koloru, szerokie, drżące, miękkie.

Tak wyglądałby uczony faun.

Jest jakaś budująca poprostu przeciwstawność w zestawieniu tego, co Fleszar,

uczony geolog, wie o ziemi — z tem, co teraz tu czyni i doświadcza. Pojęcie o milionach milionów lat, których przebiegu może się umiejętnie domyślać, których kształt i moc rozpoznać może z fal terenu — krzyżuje się w tej jasnej głowie z nikłym pasmem przemijania, jakim jest nasza wojna i czarna fala śmierci, kipiącej dokoła.

A jednak przeczy temu wszystkiemu głos Fleszara wysoki, świeży, nadmiernie młody, głos zdrowy i tak ostry, dziecinny!

W rozerwanym, gliniastym okopie zwarta i sina jego twarz sprawia wrażenie bezwzględnej łączności z istotą gleby. Jakby oficer ten, mający już za sobą kartę bojowej zasługi był nietylko oficerem: lecz jakby go wytworzyła bez udziału wszelkiej ludzkiej woli sama gleba. Jakby go wytworzyła, niczem kamień spoczywający wiernie u brzegu drogi, pola, czy ugoru.

DOKTORZY I-SZEJ BRYGADY

Zdaje mi się, że każdy z nich wolałby teraz nie być doktorem! Czyżby nasz doktor Piestrzyński, na swym ciężkim dromedarze, z harapem w garści, z lunetą przy oczach, długi jak don Kichot, nie wolał pełnić służby wojennej od humanitarnej?! Jeśli tylko może, ucieka ze szpitala, drapie się na wieżę kościelną i obserwuje ruchy nieprzyjaciela. To znów komunikuje swe spostrzeżenia komendantowi artylerji, czuwa nad celowaniem dział, albo zachwyca się robotą karabinu maszynowego.

Chorych swych, biedne poranione ciało ludzkie, — traktuje sumiennie, lecz bez wszelkiego liryzmu.

Nie tak doktor Jakowicki!

Jakowicki krępuje się swych chorych: wstydzi się wszystkich ran, cierpień, boleści, przyczajonych epidemij, całej

jatki wojennej. Rzekłbyś, że ów cios krwawy i kolosalny, jaki zadaje teraz wojna ciału ludzkiemu od Taurogów po Karpaty, — odczuwa na własnej skórze.

Zakładając opatrunek, sprawia wrażenie, jakby już dawno wiedział, że dany żołnierz będzie ranny. Wobec tej sprawy dawno wiadomej, teraz zaś doświadczanej, jakgdyby się usprawiedliwiał serdecznością, z którą zakłada bandaż. Zasób tej serdeczności poważnej, tkliwej, jest chyba niewyczerpany. Ujrzenie ją na twarzy doktora Jakowickiego w rumieńcach, które towarzyszą jego pracy, w kątach ust, w których drga niemal dziecinny uśmiech i w oczach znużonych, a tak bardzo przychylnych.

Jak sobie radzi doktor naszej kawalerji Maszadro, w twardem ręku Beliny, jaki repertuar chorób uznaje ten dywizjon, na które tam choroby można wogóle chorować, od ilu stopni zaczyna się gorączka kawalerzysty — nie wiem. Nie tak łatwo Belina rozstanie się ze swym żołnierzem, chorego będzie wiózł za sobą

na wozie, będzie kłął, będzie w ułana wódkę bez miary lał, będzie go takimi sposobami niańczył, wierząc, że opieką swą sprawi więcej, niż wszyscy medycy świata.

Doktor piechoty Paczesny pracuje równo, spokojnie, starannie, cicho.

Któż nie zna brunatnego futra doktora, wdzianego włosem na wierzch, z przepaską czerwonego krzyża spadającą na mankiet. Któż nie zna jego bródki koloru tegoż futra i małych, zacnych oczu?

Obserwowałem doktora Paczesnego w ciężki dzień bitwy pod Marcinkowcami*). Stał ze swym sanitarjatem w chałupinie przy drodze. Dzień był jasny, słońce się szkiło na gościńcu. Drogą tą, niby sine strzępy, gnane mroźnym wiatrem, wracali z bitwy ranni.

W chacie na noszach leżał żołnierz, śmiertelnie ugodzony w brzuch.

Jęczał.

Paczesny opatrywał drugiego, lekko rannego w łydkę.

* 6 grudnia 1914 r.

Pierwszy musiał być umrzeć. Z chwili na chwilę twarz jego żółkła, oczy gasły w połyskach zmętniałych. Głowa na szyi chwiała się, jak na wątłej łodydze owoc zbyt ciężki. Umierający dopominał się ciągle o plecak swój i czapkę.

Drugi, lekko ranny, po wielkim wysiłku w boju, jakby wracał do życia z furją radości, dumny, że tak mu się udało okpić kulę. Ręce mu drżały, mówił głośno, rubasznie i zaciągał się dymem papierosa z niebywałą rozkoszą.

Doktor Paczesny z równą starannością opatrywał tych, którzy za kilka godzin w ziemi legną, jak tych, którzy za kilka już dni do szeregu wrócą. Potem wychodził przed izbę, czekając nowych zakrwawionych gości.

I czy ta rzecz była w blasku słońca, czy w szarych bryzgach rozpęku szrapneli, w perłowym tle nieba, czy na drodze, po której włóczył się ból żołnierski, dość, że mi się zwidział wtedy doktor, niby skromny, cierpliwy gospodarz żniwa, którego nie chciał siać, lecz

które zbierać musi, nie rachując swego, a pilnie licząc cudze życie.

Lecz typ! Typ doktora 1-go Legionu, typ Polaka-medyka wojskowego, zawadzaki, pocieszyciela, współobwiesia a zarazem łapiducha najczulszego, stanowi doktor Składkowski. Czułość rodzicielska miesza się w jego duszy z rozmachem wiarusa, a rozmach z najbezczelniejszą kpina, a kpina z wiedzą, a wiedza z takim zuchwalstwem!

Dźwięk gitary — brzęk kuli.

Dźwięk gitary, na której doktor gra i śpiewa rzewnie, dziwnym i wielce sanitarnym barytonem.

Dźwięk gitary, świst kuli i pęd!

Niechby w ranach i we krwi, ale z honorem iść, iść dalej, prędzej, śmielej!

Przez błoto i kule i salwy z płaszcem na ramionach, z chirurgicznymi nożami w pugilaresie, z browningiem u boku, z dowcipem niesłabnącym nigdy w dzikich porykach chrypy: iść naprzód przez nosza krwią zbluzgane, przez krwią zmoczone pasma opatrunków, przez wszelką

długość żalu, śmierci, patrząc niebieskiemi
oczyma w ogień morderczy, — to cóż?
Byleby iść do Polski!

KOLUMNA

Ujrzysz zdaleka szarą, ciężką lawinę
sunącą zwolna po gościńcu. Zwidzi ci
się we mgle, że to olbrzymi wąż, czy
też potwór stunogi, w ciemnościach nie-
śmiałego poranku pełznący ku niewi-
dnym krańcom horyzontu. Ku tym stra-
szliwym krańcom, gdzie wśród gwiazd
przelatują ceglaste piętna łuny, a niebo
drży, niby w westchnieniach światła, —
w błyskach armatnich salw.

Maszerować!

Komenda ta jest prosta. W praktyce
długich marszów zostało w niej już tylko
jedno, najważniejsze: nie pluton, nie
kompanja, bataljon, czy pułk, a tylko
»maszerować« bez wymieniania tych, do
których sprawa się odnosi, przecież sami
już wiedzą.

Maszerować, — rzeczona bywa roz-
maicie. Młody oficer zgrzytnie komen-

derując, jakby zdrowymi zębami drobne krzemienie gryzł. Starszy, niczem gospodarz, wymawiając komendę, ogania nią szeregi.

Maszerować!

Ruszyli: widzisz jak masa głów faluje w rzadkim roztworze mgieł.

Idą, naprzód podani, tem osobliwem pochyleniem, jakie nadaje całej postaci plecak.

Jakby im śpieszno było, zaraz biegiem popędzą... Tymczasem, choć do biegu gotowi, idą wolno. Głowy (gdyż karki sztywnieją od ciężaru) wzniesione ponad miarę normalnie kroczącego człowieka, rzekłbyś, głowy natchnione.

Jest w tem więc trud i lotność i jakby wyższe powołanie.

Kolumna maszeruje.

Słychać brzęk karabinów i miarowy rytm nóg, których już każdy żołnierz używa tu ze znawstwem.

Głos ziemi cierpliwie deptanej.

Jaka będzie pogoda od rana do wieczora, jakie Wczoraj, jakie nastanie Ju-

tro, — rzecz obojętna. Czy przyjdzie na zmarszczkach świeżej grudy wykręcać kostki, czy mięsieć stopą ciężkie błoto gościńca, czy ślepnąć przed pałubą słońca sunącego po niebie, czy mogiłki tratować i iść we mgle dręczącej? Czy śnieg sypnie na pole, czy wiatr przestwór napełni, czy będziem tu powracać kiedykolwiek, czy nigdy już i nigdzie, — kolumna maszeruje.

Maszerować!

Wiatr poły płaszców odrzuca, słowa rozmowy zgania.

Kolumna milczy, bacząc jak gdzieś na przedzie zgrzytają skrzynki amunicji.

To znów nadjeżdża skądś czereda taborów: jadą, brzęczą, jedna za drugą, płótnem oszyte budy, są blisko, już mijają, — już widać je daleko, niby kruche odrobiny białego sera, ciągnione przez mrówki.

To znów łamie kolumnę żmudny przejazd bateryj. Metalowe potwory suną po szklistej gołoledzi od jednego brzegu do drugiego. Słońce w lufach brązowych

promieniami się pręży, armaty nie chcą toczyć się dalej naprzód.

Jest w tem coś okropnego: po czterech kanonierów trzyma za każde koło, ręce swe wplekli w oślizgłe szprychy kół. Starszy liną uwiązaną przez zamek powoduje, a straszliwa maszyna, niby kościsty bies ociąga się, iść nie chce, choć zewsząd ciałem ludzkim oblepiona.

Armaty nie chcą iść!

Minęli. Jeszcze przebiegł konny ordynans. Kolumna maszeruje na kraniec horyzontu, gdzie między gwiazdy wdarła się krwawa rana pożogi.

W mroku wieczora, ni to jakowyś czad, tak dziwny a uroczy, ni to sprawa najmiłsza, wypływa nad szeregi:

*O mój rozmarynie, rozwijaj się!
O mój rozmarynie, rozwijaj się!
Pójdę do dziewczyny, do mojej jedynej,
Pokłonię się! Pokłonię się!*

Kiedyż się rozmaryn rozwinie, do dziewczyny jedynej czy zdążysz?...

Maszerować!

Kolumna już w mrok weszła, nie widać czapek, siwe płaszcze opłynął cień, nie widać ludzkich twarzy, nie widać postaci, jakby to same drzew gałęzie śpiewały:

*Pójdziemy z okopów na bagnety!
Pójdziemy z okopów na bagnety...
Śmierć mnie ucałuje, śmierć mnie ucałuje,
Ale nie ty! Ale nie ty...*

Jeszcze sto kroków, — jeszcze sto kroków, potem wyjdę z szeregu. Jeszcze sto kroków, by być razem z wszystkimi, gdy wchodzić będziemy do wsi, a baby z popod krzyża wrzasną: Nasi idą!!!

— Jak się ta macie matko!?

— Wy się lepiej macie, bośmy was zobaczyli!

Jeszcze sto kroków, by stanąć w pionach tej radości.

Przez głowy idzie smuga wspomnień z przeróżnych stron, — ten jest z Krakowa, tamten z Nowego Targu, ów z Kielc, ów z Częstochowy.

Pod zaszczytem piechurskiego płaszcza
brata się fach najrozmaitszy, łączy zie-
mia rozdarta.

Na przedzie wy, najmłodszy!

Oczy cię pieką, jak kule ogniste, a na
ramionach od pasów płomienie czujesz
dwa!

Na grzbiecie, niczem żarno ogromne
cięży plecak, karabin zjeżdża z obojczy-
ka, jakby ci rzemień gweru łojem wy-
smarowano.

Zmieniasz swój marsz, to kantem stopy
krocząc, to na piętach, młody chłopcze,
żołnierzu-obywatelu, coś na wiadomość
pierwszą biegł w rozchełstanej kapocie
z Warszawy do Krakowa; coś z parą
butów wykradzionych z komory i z du-
żym białym serem w łapie stawał do
szeregu w Jędrzejowie.

Niesforny w oddawaniu ukłonów, ty,
co się »samemu Piłsudskiemu nie kła-
niasz«, lecz, by celniej strzelać, przed okop
wypełniesz... Żołnierzu nasz i chłopcze,
złoty gzymsik karnisza noszący w plecaku,
w ogniu wyczyniający sitko z okrywki

szrapnela. Ty, którego żadne alarmy nie
wytrąca z pogardliwej równowagi, żoł-
nierzu, stary polski legionisto, o mło-
dych, chłopięcym puchem obrośniętych
rękach!

Maszerować!

Idzie cała kolumna, w czarną śmierć
i zwycięstwo i w sławę, w zapomnienie,
jak chodzili hoplici, jak zapewne cha-
dzali Japończycy, z jedyną myślą, —
aby się mężnie bić.

Idą, pochyleni naprzód, rzekłbyś wprzą-
gnięci do wielkiego rydwanu, na którym
ciągną ku krańcowi horyzontu, drżącemu
w błyskawicach — sławę swego Narodu.

KAWALERJA I-GO LEGJONU

Stary dwór polski głęboko zasiadł w ziemi, tak, że iskrzący śnieg leży pod oknami. Dalej sterczą już tylko wiązki suchych gałęzi, chudość kościstej zimy, a dalej świat odęty wichrem, daleki, senny, przepastny, nasz polski świat zimowy,

Okna patrzą na ogród. Kurzawa śnieżna buja cicho po ścieżkach, leci, powraca znowu i zaciera ostatnie pogmatwane drożyny.

We dworze sufit niski, podłogi skrzeczą, meble ledwie się już trzymają pod ścianami. Na ścianach twarze ojców pendzlem olejnym wyciągnięte, a na pokojach cisza. Dwór grzybieje powoli, zdala od traktu, po którym płynie krew. Dwór zaszył się w śnieżycę, o niczem nie chce wiedzieć...

Czyście widzieli ich jesienią, czyście witali, czyście żegnali, czyście gościli ich

w zimie? Jadą zbrojno, na obraz i podobieństwo krakusów Madalińskiego, ułanów Księcia Józefa, na obraz i podobieństwo rycerskiego czynu, który krwią okwitł dawno i nigdy już, zdawało się, nie wskrześnie!

Czy wiecie, że to już nie śpiewka o ułanie puka do wiejskiej chałupy, lecz on sam żywy, zziajany jak wilk, gorący zaś jak ogień. Ułan polski konia za uźdę trzyma, zmarzniętą pięścią tłucze po zmarzniętych szybach, — otwierajcie!

Nie pieśń, — ciało, broń i krew żywa.

Czyście witali, czyście gościli ich w zimie? Jadą przez wieś, przez miasto, przy słońcu, przy księżycu. Nie jest to żadna wizja lecz zwykła rzeczywistość.

Ułani polscy, honor, zaszczyt i radość! Nie wzięli się tu z płótna, ani wiersza, lecz z walki, z życia i z zasługi bojowej. Kawalerja Beliny w srogich kaskach, i w srebrnych długich sznurach: — stary obraz, legenda, dawne kawaleryjskie godła wyszarpięte z zakurzonej framugi, — nowa treść!

Była to długa, pracowita gospodarka, —
zaczynajno pan od siedmiu, co na pierw-
szym patrolu »konnym« siodła na grzbie-
tach niosą. Pozbierajno pan ludzi i wdróż
ich w posłuszeństwo i w piękny styl
i w każdą poniewierkę ciężkiej wojny,
pozbiernajno pan te wszystkie trenzle,
gurty, rzemienie! Łańcuszki z siedmiu
koni rozmnoż na kilka szwadronów, do-
rób się pan ze sznurków ułańskiego or-
dynku.

W starym polskim dworze okna pa-
trzą na ogród, słońce zachodzi, mróz
ostry sinieje pod ścianami, tylko jeszcze
na krzewach blask połyskuje krwią. Aż
tu nagle buchło we drzwi dźwiękiem,
ostroga, szabla, — niema stu lat niewoli,
gdy ci, co sto lat temu poginęli w swoich
prawnukach żywi, kołaczą znów do okien!!!

Po ogrodzie kurzawa śnieżna lata, kłębi
się i zakręca i jakby w jeden zwitek
rózanego puchu ściąga wszystkie drożyny.

GOSPODARKA I-EJ BRYGADY LEGJONU

Jak na przestrzelonym łachmanie sztandar
mieniają się wszystkie barwy ojczyzny
i nie ciasno im i nikt się nie dziwi, że
jeden strzep streszcza w sobie wody, zie-
mie, góry i ludzi i całą duszę kraju, tak
nie może być dziwnem, że gospodarstwo
tego oddziału i jego idee samorządne,
i wykonanie ich zamykać się może w nie-
wielkiej skrzyneczce.

Gospodarstwo to, niby maleńka i naj-
prostsza arka przymierza, — bo przecie
są w niem myśli pokoju i sprawiedli-
wości, — tłucze się za oddziałem na wozie.
Chronić je trzeba, by się nie potoczyło
do rowu, by go deszcz nie zmoczył i nie
zamazał, by obcy ludzie nie roznieśli.

Nie może ono polegać na ścisłym obli-
czeniu czasu tych, którzy gospodarują,
ani tych, którzy są »gospodarowani«.

Jakże obliczać czas, gdy śmierć pośród niego ugania? Nie może to gospodarstwo polegać na przeglądzie planowym wśród miejsca określonego i nigdzie tu żadne biura, czy sejfy ustawić się nie mogą. Cały bank, wszystkie piętra i biura leżą rozłożone na stole wiejskiej chaty. Wszystkie zapasy w pieniądzach papierowych, jak niebieskie tomiki popularnej biblioteczki, — w skrzynce.

Akta zaś tego »banku«, mimo kilku maszyn do pisania, które gdzie mogą, tam coś dopiszą, — to atramentowym ołówkiem posiane na żółty papier gryzmoły.

I-sza Brygada mogła była jednak mówić już o ostatecznej gospodarce, gdy udało się jej mieć choć tyle spokoju, by te gryzmoły atramentowego ołówka wykorzystać.

Z początku czasy trudów i bojów były tak nieprzerwane i wysilające, że sprawy finansowej niepodobna było drobiazgowo wyczerpywać. Załatwił ją w najkardynalniejszym zarysie wynik referendum

oficerskiego, mocą którego w myśl starych, czy wiecznie młodych, zasad świeżych armij, oficerowie zrzekli się swych poborów na rzecz żołnierzy.

Wypada tu podchwycić dokładny sens tego referendum. Były w tej enuncjacji oficerów-obywateli, która przyszła naturalnie i spontanicznie, — te właśnie tradycje, jakie towarzyszą zawsze armjom improwizowanym w wielką godzinę przełomu. Owo referendum stwierdzało brak jakiegokolwiek różnicy stanu obywateli wobec sprawy ogólnej.

Możnaby zarzucić, że później rzeczy te inaczej poszły. Zarzut taki jednak nie byłby słuszny. Nie o to bowiem idzie, że pewne zastyganie formacyj wojskowych musi sprowadzać pewne modyfikacje w postanowieniach pierwszych, lecz o to, że modyfikacje te będą zawsze pochodniami danego postanowienia i na zawsze ślad wielkich marzeń na nich się odcisnąć.

Tak też stało się i z założeniem gospodarczym I-szej Brygady. Gdy po uciążli-

wych bojach i forsownych marszach przyszła ona do Galicji, znalazł się korpus oficerski w obliczu dwóch faktów, które skłoniły go do rozważenia typu gospodarki: w życiu oficerskiem, które pociąga za sobą pewną reprezentację, ukazały się dotkliwe braki ekwipunku: wielkie oddalenie, czasem odcięcie zupełne od rodzin i domów usuwało wszelką możliwość pomocy na drodze prywatnej.

Obie te bolączki miało rozstrzygnąć zgromadzenie oficerskie, zwołane w Lipnicy Murowanej na 2 stycznia 1915 r.

Przebieg jego i chwila, w której się odbywało, były nadzwyczaj charakterystyczne. Działo się to przecież w kilka dni po wspaniałej bitwie pod Łowczówkiem, gdzie razem z rannymi padło 35 oficerów, gdy cała Brygada, że się tak wyrażę przenośnie, — ociekała jeszcze krwią.

Działo się to w chwili, gdy podjęcie idei gospodarczych było widowym znakiem nawrotu do życia.

Zdania rozstrzeliły się na początku. Ostatecznie, znaczną większością zdecy-

dowano, że wszyscy oficerowie I-go Legjonu, posiadający mianowania c. i k. armji, kwitują pobór pełnych pensyj, które bezpośrednio przechodzą do wspólnej kasy. Oficerowie, wszyscy bez względu na stopień i jakość mianowania, pobierają po 100 koron miesięcznie, żołnierze, bez względu na stopień, po 10 koron miesięcznie.

Komenda Brygady zrzekła się w tej sprawie ingerencji.

Decyzja i rządy kapitałem, administrowanym korporatywnie, oddane zostały w ręce delegacji, wybranej przez ciała oficerskie poszczególnych bataljonów i oddziałów. Między innymi skład jej stanowi: kapitan Piskor, porucznicy Dreszer, Wojsznar, Sarmat, komendant bataljonu Olszyna - Wilczyński.

Z wydatków, najpoważniejsze rubryki stanowią: ekwipunek, wypłaty dla rannych, — chory i ranny pobiera automatycznie 150 k., które są doręczane przez sanitariat z funduszu na ten cel specjalnie przekazanego.

Do czasu, w którym formalnie rozwinięto 1-szy pułk w Brygadę, pobierało pensję 200 oficerów Brygady (po 100 k.), podczas gdy z kasy rządowej zaledwie 40 mianowanych przez c. i k. armję. Po rozwinięciu 1-go pułku w Brygadę, pobiera pensję 246 jej oficerów, podczas gdy na zatwierdzonym etacie rządowym figuruje stu dwudziestu.

Nie ulega kwestji, że koncepcja korporatywnej gospodarki zadziwia postronnych, drugich, zwłaszcza niepoinformowanych dokładnie co do stanu rzeczy, napełnia niepokojem. Sprawy te jednak, o ile ma się traktować, należy przede wszystkim znać; wiedzieć, że listy ze spisem oficerów przesłane do wszystkich instytucyj, mających do czynienia z ruchem i pobytem oficerów — uniemożliwiają wszelkie nadużycia.

Rzecz prosta, że przy takim rządzeniu pieniędzmi utworzy się ich zapas, z czasem może nawet dość wydatny. Użycie jego będzie zależało jedynie i li tylko od postanowień korpusu oficerów.

W całości tej gospodarki musi się rzucać na pierwszy plan ścisła zasada koleżeństwa, która wyznaczając równą gażę, wytwarza mniej więcej równy stan. Zasada ta, mocą swych finansowych zarządzeń przyczynia się do poczucia solidarności wśród oficerów. Obiera ona z najlżejszych cieni przywileju dążenie do odznaczenia się i wyższej rangi. W tym składzie rzeczy wyższa ranga może być tylko szerszym zakresem działania i absolutnie niczem więcej. A również — w tym składzie rzeczy — fundusz tworzący się i narastający automatycznie wiązuje poniekąd oficerów wszystkich więzią przyszłego pożytku, który sami kiedyś za najlepszy uznać zechcą...

Nie tylko więc sławę i męstwo obnosi I-sza Brygada Legjonu po polach, górach polskich i nizinach, nie tylko wpłata swe czyny w nigdy niezapomniany obraz Ojczyzny, — wiezie również ze sobą w obtłuczonej skrzyneczce myśl bratniej, równej gospodarki, myśl pełną serdecznej miłości i głębokiego marzenia.

KWATERY

Nie wiecie, skąd idziemy, ani dokąd!
Idziemy w rygorach wojennego rozkazu,
niosąc na pola srogość śmierci, podstęp
do lasu i ogień w wieś!

Nie wiemy, jakie dotąd życie wiedliście,
które was nękało zmartwienie i jakie
łączy pokrewieństwo.

Wy ludność, — my żołnierze!

Bezbronni gospodarze zbrojnych gości,
niema dla was podzięk.

Przytuleni do ciepłych okien waszych
domów patrzycie, jak na ulice wylega
żołnierz, ślecie mu gesty, spojrzenia po-
żegnalne, lecz was nie zapamięta. Wy,
wasze domy, twarze, potrawy, bety, po-
duszki, wszystko niebawem zniknie.

Pracuje się na was tak ciężko mar-
szem, szturmem i krwią, nim zdołamy
uwolnić wasze miasto i do was dojść, ileż
się rzeczy stanie!...

Miasto, miasto kochane!

Mury, kościoły, wieże poniesie już na
tamten świat, kto się w szeregu, śmiercią
rażony, wyrócił! Mury waszego mia-
sta, mury, wieże, kościoły tańczą długo
na śniegu w spojrzeniu naszych rannych.

Hałasem strzału krzyczy ku nam wróg
z za murów tych, lecz wiemy, że wy nas
tam czekacie!

Chłopaki wasze włączą się po szkar-
pach i widzą nas zdaleka wszytych w zie-
mię. Widzą ogniste pręgi naszych salw,
widzą z oddali nas, jako małych ludków,
w rogatych czapkach hycających po
śniegu. Drapia sobie ręce do krwi, gdy
się któryś z nas wali na ziemię i niby
małe goryle tłuką się po piersiach, gdy
wali się Rosjanin. Potem biegną zpowro-
tem do domu, jakąś cudowną drogą chło-
pięcej przebiegłości i tu szeptem mówią
do ucha rodziców: — Oni się niczego nie
boją, mamusiu! Widziałem ich. Ja ich wi-
działem. Tatu, widziałem Strzelców!

Słysząc, jak po polach zamiejskich
ogni twardy stuk śmierci, ulicami miasta

jedzie wynik naszej roboty — wozy z ran-
nymi; jedzie srogi nasz gniew — wozy
płachtą nakryte...

Nazajutrz już jesteśmy u was, na kwa-
terach! Kręciliście się cały dzień, na ra-
tuszu wrzało od rady i uroczystości, wy-
biegacie na drogę. Czekać do wieczora na
tej drodze. Zamiera wam serce z radości.

Jedzie Piłsudski w szarym kubraku na
swej złotej kasztance, jadą jego oficerowie
zdrożeni, sunie wreszcie kolumna!

Wchodzić do zapracowanego krwią
i bitwą miasta polskiego, mijać ludzi obję-
tych wielką ciszą wdzięczności, iść ziemią,
z której wygnało się wroga i usłyszeć
ów krzyk wzdłuż drogi biegnący, owo
szczęścia pełne: Niech żyje Piłsudski!
Niech żyją Strzelcy! Niech żyją Legjony!

Oddziały wchodzi w ulice miasta, na
chodnikach tłum macha rękami, płacze,
krzyczy. Jakaś czarno ubrana kobieta,
odnalazła w szeregu swego chłopca, bie-
gnie za oddziałem po błocie, przez łzy
się śmieje i woła nieustannie: — Zygmus!
Zygmus!

Zygmus raz tylko machnął ręką i idzie
dalej, jeno mu karabin na ramieniu dy-
goce, wstrząsany czułym płaczem.

To ci są tu kwatery!

Ze wszystkich stron, z nieba, z pod
ziemi, z murów, z kamieni, zewsząd zja-
wiają się poduszki. W każdym domu kuch-
nia aż trzeszczy i graży się w niebieskim
dymie smażeń wybrednych. W każdym
domu zasiada do stołu po kilka, kilka-
naście strzeleckich mundurów.

Wojaki głaskają zalotnie śnieżny brzeg
obrusa, świadczą paniom naiwne komple-
menty.

To ci tu są kwatery!

U fryzjerów procesja i ścisk — wilcze
łby, chropawe gęby obrabia roztkliwiony
żydek.

Do cukierni!

Do prawdziwej cukierni, gdzie się na-
pijemy żywej, nie konserwowej kawy, za
pieniądze! W cukierni już od 11-tej rano
niema ani jednego ciastka. Cukiernik
chodzi z albumem i prosi o autografy,
podczas gdy tubylcy rekrutują sobie z po-

śród Strzelców nowych gości obiadowych.

Zaproszenia przyjmować należy uważnie, by się nie pomylić: o godz. dwunastej i pół na własnej kwaterze, o drugiej u doktora, o trzeciej można jeszcze zdążyć do aptekarza!

Teraz podpisać się w albumie wzruszonego cukiernika. Zamach się bierze do tego i szast, aż pióro bryźnie. Wyższy oficer podpisze się statecznie, doktor niezrozumiale, kawalerzysta wściekłym galopem.

Albumie cukiernika, księgo skromna, ileż z twych podpisów za trzy dni, za tydzień, za miesiąc stanie się już pamiątką!

O wieczorze nie mówmy: Mars i Amor, skwapliwie pogodzeni sprawują swe obzędy. To ci są tu kwatery!

A znów co innego zupełnie na terenie spędzonej nagle kawalerji nieprzyjacielskiej. Wyjechał taki oddział ułanów, czy husarów, czy też innych baszkirców bezpiecznie na naszą drogę, aby pogospo-

darzyć; już wycisnął plebanję, wycisnął dwór, oskubał chłopów, nażarł się, napchał, napił, — teraz, — powiada, — zapasy będę robił!

Powiada — zwięźcie mi tu chłopcy owies, tam krupę, — powiada, — rządę, bo muszę mieć! Regularnie musi mi być i akuratnie.

Więc wójt, gmina i rada... Podzielili ten ciężar między sobą, wszyscy się wzajem obełgali (każdy ma przecie jeszcze resztę zakopaną w ziemi) i robią temu piekielnikowi ziemię obiecaną. Klną jak cholery, plują z sykiem jak żmije, ale ziemię obiecaną robią złemu draniowi.

Tu mi, — powiada, — złożysz owies — i miarę do tego ma i mierzy... Tu mi zwał siano! A tu mi dawaj mięso!

Zwożą siano i aż się samym jeść zachciewa z żałości.

Baby kurę warzą w chałupie — psia krew, jeść, — powiada, — muszę u was jeść dobrze.

We dworze zasiadł, rozparł się, papierosy pali, — »da — da«, — mówi, a pani

domu kotleciki rychtuje i cnoty chrześcijańskie przepowiada, by bliźniemu nagłej a niespodziewanej śmierci nie życzyć zbyt pochopnie.

Na plebanji — Polak był — księdza proboszcza oficer tych gwardyjskich ułanów na bok odciąga i serce mu otwiera, — obaj płaczą.

Strzały huczą śmiechem okrutnym — ho, ho, ha, ha! — coraz bliżej, coraz głośniej podstępują. I z drugiej strony stanął i z drugiej strony ogniem się śmieje, ho! ho! ha! ha! — śmieje się ołowiem.

Ci uciekają, tamci za nimi pędzą, smoki najdroższe, kochane, chłopcy w kaskach legendy narodu.

To ci tu są dopiero kwatery, niebo i raj prawdziwy!

Ten owies, co go se złodziej narychtował, żuje twój koń, aż śliny pełno w gębie, gdy słyszysz, jak koń żre. Tę kurę — co sobie warzył twój wróg, — zasiądziesz i chłopskie dzieci przypuściwszy do twego garnka, chrupać będziesz tę kurę, po udach się bijąc ze śmiechu. Te konserwy,

które sobie ciura jego podgrzewał, bierzesz do rąk, odczytujesz na nich napis i wzruszasz ramionami. Bo pocóż pisał na konserwach, gdzie je fabrykował, gdy je właśnie utracił?

We dworze właściciele aż miękcy ze wzruszenia!

Na łózkach, na kanapach siedzą oficerowie, każdy ogarnia ramionami dobytek swój żołnierski, troczki, pled, derę, koc, — nie wiedzą jeszcze, że tu każdy dostanie swoje spanie. Że gospodarz — nieświadom wojny obyczajów — pożycza czyste chustki do nosa i daje prześcieradła, poduszki i jeszcze ciągle ręczy, — warjat, warjat! — że w jego domu nigdy nic nie ginie.

— Niechże szanowny pan powie, że dotąd nie ginęło — zauważył któryś z oficerów.

A znów inne kwatery, gdy nastał odwrot: idziemy ciągle w deszczu, jakbyśmy wracać mieli na sam koniec świata.

Wicher zabiega drogę, przeglądać się nam teraz łąco w błyszczącej między

bruzdami szklistej wodzie gościńca. Patrzymy tylko przed siebie, by nie widzieć przy drodze naszych kochanych koni. Leżą rozparte, ze szklanemi oczyma, w szarugę nieba zapatrzone, zmęczone, zastrzelone!

Goni nas srogi, nieobjęty duch wojny, kurząc za nami dymem i dziwowiska straszne czyniąc na horyzoncie. Na granicy widzenia, jakby u granic wszelkiego czucia, rozgrywa się codzienna ofiara wojenna. W pomarańczowym ogniu płoną brunatne chaty. Widać ludzi, jak czarne pionki, wysoko zaś nad nimi błyskają złote różgi płomieni.

Przed nami jakby ciąg okruchów ludzkich, przed nami, obok nas — bo my jedni jesteśmy prawdziwymi ludźmi, bo mundur nas obciska, bośmy w formie walki, — przed nami i obok nas drepcze tłum rozbitków, wygnańców, uciekinierów.

Tylko my tu idziemy — gdyż krokiem naszym rządzi wspólny rozkaz — tamci drepczą, niosąc swe zajdy w rękach i na plecach.

Jakiś ktoś przerażony okrywa ramionami małą, białą trumienkę i tuli ją do piersi i ucieka, cała rodzina za nim.

To ludność, to jest ludność!

Biegnie po polach, by jej nie rozdeptano na gościńcu, gubi się po ścieżkach i bezpowrotnie wnika w bezdenną noc.

Żal nam opuszczać ten krwawiący horyzont. Byliśmy tam, leżeliśmy i trwali, niczem rozprazona sztaba żelazna!

Mamy teraz iść spocząć.

Zgaśliśmy i jak poćwiartowane kawały potwora to się zrastamy, to się znów rozdzielamy w mrocznym marszu.

Słyszę, że Komendant wywołuje głośno moje nazwisko. Urodziło się ono naprawdę dopiero w czasie wojny. Teraz dopiero żyje. Słyszac je, przepełniony się czuję odpowiedzialnością.

Mam wziąć z sobą kwatermistrzów i pędzić do miasta, znaleźć kwatery dla oddziału, który dociągnie tam za dwie godziny.

Żaden rozkaz nie wzrusza, nie krępuje i nie niepokoi jak ten. Jest w nim mo-

żność odpoczynku dla tylu tak straszliwie znużonych.

Rozkaz ten całą bezdomność ludzi wojennych wali na barki kwatermistrza. Przemienia się człek, póki kwater nie znajdzie, w jedno zabłąkane, niespokojne, szukające bezmiejsce.

Ruszyliśmy z kopyta, zostawiwszy za sobą grzęznący cicho w błocie marsz piechoty.

Jedzie się godzinę, dwie, szuka się choćby jednego znaku życia w opustoszałej okolicy. Nic, tylko czarna noc, wicher w krzakach, w gałęziach i świst na szarych przegonach.

Dopiero przy polnej drodze wykluwa się gdzieś nikłe światelko chałupy. Zajeżdżamy na chwilę. Konie pod wiatr przy płocie ustawione. Pukamy.

Pukamy, kołatamy, otwieramy i potykamy się na wysokim progu i nie wie, co to szczęście, co radość, kto w mundurze żołnierza polskiego, przemarznięty na kość, nie wszedł do chłopskiej chaty tak znienacka.

Ognisko płonie, baba nad garnkiem mleka czuwa, chłopaki patrzą z zapiecka, jak w obraz: boś jest żywy obraz żołnierza polskiego, co zbłądził pod te strzechy i gdy pijesz mleko bielutkie w polewanym garnuszku, jakbyś spełniał prastary obrzęd.

Dojechaliśmy do miasta. Szukamy burmistrza, ławnika, radcy, czy byle stróża, kogokolwiek, kto ma bodaj najluźniejszy związek z rządem tego miasteczka. Ulice puste, domy zamknięte, kramy zawarte, tylko wiatr pędzi bez tchu środkiem gościńca w dygocie żelaziwa.

Zwiduje ci się gromada twej braci żołnierskiej i to, że wszyscy są spokojni o kwatery, boś ty wyjechał naprzód. Zwidują ci się też nagle dawne chwile dzieciństwa. Ciepłe, małe łódeczka, jakto nas wtedy grzano, chowano na tę właśnie żarliwą poniewierkę.

Szturm od domu, do domu.

Znów zajeżdżam pod okna i walę gardą w okiennice.

Otwierać!

Czekamy.

Kładzie się człek na siodle, wypuszcza zdrętwałe stopy ze strzemion. Nasze cienie dłużą się przy księżycu obce i zabłąkane. Nareszcie drgać poczyną jakieś życie w ciemnem wnętrzu szyb.

— Wyłazić tam, wyłazić!!!

Zjawia się we drzwiach jakby wciele nie snu małego miasteczka, ktoś szary, ze sznurków, z waty i ze starej wełny uwity, zasmolony, ochrypły, drżący.

— Ile macie miejsca? Ile pokoi? Otwierać stajnie!

Gospodarz jęczy. Bieży mu na pomoc z głębi domu głos żony.

— Gdzie tu jeszcze można kwaterować?

— Nigdzie.

— Nic mnie to nie obchodzi. Tu u was jest kwatera. Musi być!

Ochrypłym, jadowitym głosem powtarzam: — Musi być i świeża słoma dla sześćdziesięciu ludzi.

Dla sześćdziesięciu?

Gospodarz zdradza swych najbliższych, byle samemu sobie ulżyć doli. Okazuje

się, że tam jest dobre mieszkanie i ówdzie i jeszcze indziej.

W przeciągu pół godziny kazaliśmy miasteczku ożyć i nieszczęsne ożyło. Wójt szedł przed nami wszędzie, a stał się praworządnym, odkąd i jego dom zajęliśmy dla wojska.

Miasteczko było żydowskie. Zerwali się ze wszystkich zakamarków brodaci starcy, przeróżne Abrahamy, Jakóby, Moszki. Snuć się zaczęli po trzeszczących schodach i ze świecami w ręku szli wzdłuż czarnych okien kiwać białemi brodami na progach krzywych domostw.

W izbach, z piętowych betów, jak głównie płomieniste wychylały się czupryny rudych dzieci, a w uchylonych tajemniczo drzwiach, albo w oborze łatwo spotkać było młodziutkie dziewczęta, pełne biblijnego wdzięku i głośnej kłótności.

Na rynku bujną koroną złoto-czerwonych palm płonęły już ogniska, domy nabrały ciepła, powszedy słyhać było lube szelesty siana.

Ale kiedy kwatermistrz trafi na miejscowość rozstrzelaną, umarłą? Napróżno wówczas ciska się od domu do domu. Jechać będzie ścieżką wśród zmarzniętego sadu, sine gałęzie w twarz go uderzą mściwie, stanie przed domkiem, huknie:

— Jest tam kto?... Ściany echem odrzekną, niby w starym poemacie, — kto?

Domek cichy, samotny, opuszczony jak trup.

Kwatermistrz wbok zawróci, ciśnie się na błysk światła w oknie. Wylegnie mu naprzeciw jakaś matka samotna, patrząca przed się nieszczęściem wypatrzonych oczu i jęknie:

— Mój panocku, — panocku.

Cofniesz się, jęk za tobą polecą daleko, uciekniesz wszędzie indziej!

Tam będą żołnierze spali na klepisku, po trzydziestu w jednej ciasnej chałupie, a nad nimi, w łóżku jedynem, siedmioro dzieci, niby anielski chór w białym obłoczku prostaczym.

Tam, w szarej karczmie, zlepi się w jedną bryłę pół bataljonu, a mroźny wiatr grupę

ze śpiących utrwali, — grupę sinego trudu.

Tu w popalonej szkole staną konie, a zaś kwatermistrz wyszykuje dla reszty oddziału stary, samotny dwór.

Sale pustego dworu grają się w poświacie, echo kroków łomocę w korytarzu. Wszędzie pustka i nicość, tylko na którejś ścianie wygląda z ram twarzyczka młodego dziewczątka, opasana warkoczem złoto-popielatych włosów. Pod niemi za szkłem napis, kiedy je ucięto, — roku, dnia? W dzień pogrzebu.

Samotność, pustka, nicość, głuche korytarze.

Za szkłem, niby pod wodą, ta jedna smutna twarz, jakiejś dawno umarłej dziewczyny, — jedno puste spojrzenie...

Och, wojno, nasza wojno!

BITWA POD ŁOWCZÓWKIEM

Wyszykowały się na rynku Nowego Sącza wszystkie bataljony 1-go pułku równym poważnym frontem.

Pada komenda. Sino-niebieski pluton za plutonem na zakręcie placu wyłamuje się z frontu. W kilku chwilach wielka kolumna czwórkowa gotowa już jest do wymarszu.

Wymarsz smutny, z takim zakłopotaniem przyjęty przez miasto. Chcieli nas mieć na wilji! Mieszkańcy drzewko żołnierzom wyprawiać zamierzali!

Widać w oczach ludności zalegającej chodniki serdeczne zawstydzenie: że gdy oni tu w mieście wilję będą obchodzić, my tam gdzieś w polu, — w okopach, — w szturmie.

Orkiestra gra „Hej strzelcy wraz“!

Na czoło kolumny wyjeżdża podpułkownik Kazimierz Sosnkowski ze swą świtą.

Jakaś pani wyrywa się z tłumu, podaje białe chryzantemy, chce coś powiedzieć, ale ucieka zawstydzona.

Występuje tedy z grupy szanowny siwołosy delegat, odkrywa głowę, bo ma zamiar przemówić.

Na rynku cisza.

Sędziwy delegat patrzy przez załzawione okulary, chryzantemy się bielą na siwym mundurze dowódcy, aż w ciszy i powadze rozstania, stary jegomość rzecz: — w imieniu tych...

Wiemy, oddawna wiemy! W imieniu wszystkich, którzy tak długo czekali, póki nie zaczną — „nasi bić w tarabany“.

Ruszyliśmy drogą do Zbyszyc na Paleśnicę. Drogą i krajem gdzie już walczyli ludzie. W rowach przydrożnych leżą niefortunne, pocharatane konie, w dolinach wyswiechtane łysiny ze słomy postojów. Na gościńcu, na polach, puste blaszanki konserw, wdeptane w błoto naboje, to znów przez górę wyrżnięta szara pręga okopów.

Drzewa poranione, gałęzie ostro złamane wystrzałami, ówdzie dom z rozwalonym przez granat oknem. Pod nogami kałuże krwi rżniętego bydła, stare czapki żołnierskie, śmieć i ziab i błoto.

22 grudnia 1914 r. ponure wietrzne południe zastało 1-szy pułk w okolicy Brzezia, skąd widać było lesiste, piękne góry. Żołnierze szli wesoło, prawiąc o Bożem Narodzeniu, a na gwerze jednego z nich tkwiło drzewko, chyba najpiękniejsze, jakie w tym roku ujrzyć można było w Polsce! W lufę karabinu zatknął sobie żołnierz gałązkę choiny, uwiesił na niej dwie kartki, które niedawno z domu był otrzymał. Gałązki drzewka niby włosami anielskim opasał źdźbłami słomy, najwerniejszej towarzyszki żołnierskich losów.

Teren leżący przed nami objęty był już walką. Pewne przestrzenie zalegała podejrzana cisza, z innych rwał ogień karabinowy, niczem nieustanne trzaskanie, biegnące ze świstem aż ku nam.

Mieliśmy wyprzeć nieprzyjaciela z pozycji, które rano przeważającą siłą ode-

brał, opanować Meszną Szlachecką i wzgórze, odnośną na karcie znaczone cyfrą.

Jakże innych barw nabiera krajobraz, gdy walczyć wśród niego wypada, w jak zagadkową moc przyoblekają się cyfry wzgórz, gdy mają się stać miejscem zwycięstwa lub śmierci!

W las, który wziąć należało, były już szrapnele naszej artylerji. W szarej toni wzgórz łyskały krótkie blaski wybuchów armatnich, pociski nieprzyjacielskie zaciężyć chciały nad mrowiskiem idącej do boju naszej piechoty.

Atak, prowadzony przez majora Rydza, obciskać jął wzgórze. W szczegółach wykonywali zadanie Drewniak i Bukacki.

Pierwszy sunął wolno swą linię tyralierską naprzód, pod ogniem karabinów i karabinów maszynowych, drugi pod wzgórze zachodził z boku.

Nieprzyjaciel, naciskany z dwóch stron, tu przewagą ognia, tam sznurem naszej tyraliery, nie wytrzymał natarcia, prócz poniesionych strat dając nam przeszło czterystu jeńców.

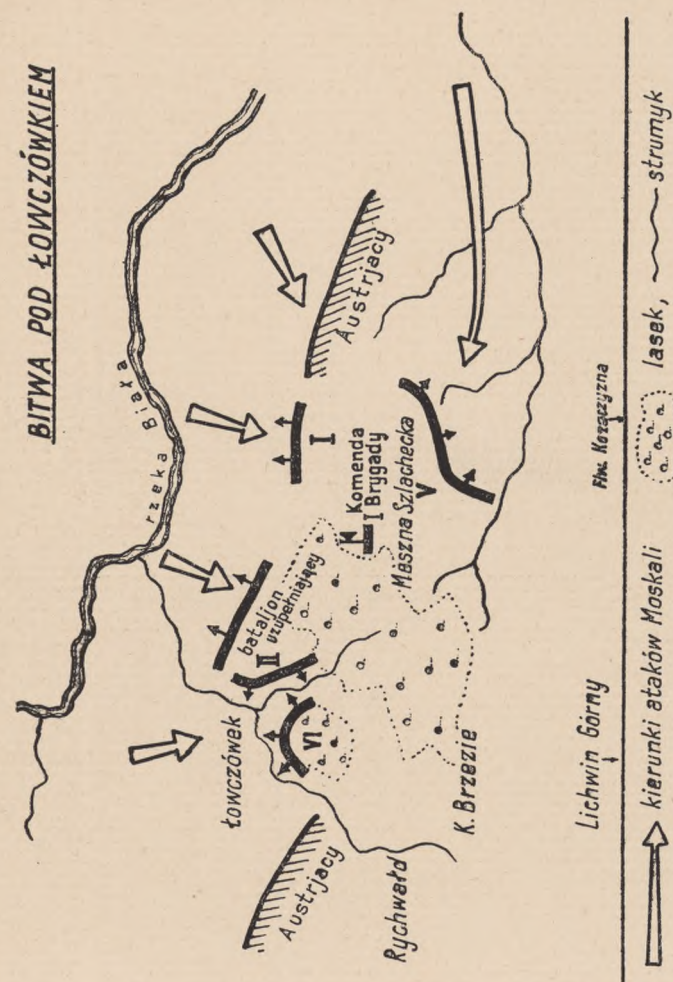
Nasz oddział atakujący takiego nabrał rozmachu, że patrolami sięgnął w nocy daleko poza własne pozycje. Wtedy to z siedmioma ludźmi podoficer Świderski wziął do niewoli wyższych oficerów Benderskiego pułku, z pułkownikiem na czele, ogarniając ich w budce dróżnika, przy stacji telefonicznej, już po stronie rosyjskiej.

Prócz pułkownika wzięto dwóch kapitanów, dwóch poruczników, trzech podporuczników i dwudziestu ośmiu ludzi.

Noc była zupełna, gdy ściągać się jęły rozgłośnie tętna walki ku jej ośrodkowi, źródłu, t. j. na odprawę do kwatery podpułkownika Sosnkowskiego.

Ściągano tam wśród gęstej wilgotnej nocy, wśród ciągle nowych oddziałków z jeńcami, między rannymi, których niesiono z wszystkich stron.

Prawdziwa legjonowa bitwa: na froncie gwałtowna kanonada, siedemnastoletni chłopcy we dwóch, we trzech odprowadzają po dwudziestu, trzydziestu jeńców rosyjskich, chłopów jak tury. Tu wykli-



nanie, tam ktoś woła „A to ci wesołe święta“, tam znów „Kazik żyjesz?“ „Żyję“. „Niech cię cholera“! I w odpowiedzi radosnej, — „Jak Boga kocham“.

U podpułkownika Sosnkowskiego na podwórzu wciska się w stodołę dyżurny pluton kawalerji.

W sieni nieomal jeden na drugim stoją ordynansi bataljonów, każdy się z męstwa swego bataljonu spowiada.

W izbie małej chałupy przy trzaskającym kominie — zgromadzenie, jakiego tyle lat nie znała Polska: w półmroku i w półświetle gęsto półkolem stoją oficerowie, zdają relację i biorą na jutro tę rzecz wśród sumiennych żołnierzy polskich niezawodną i nigdy niezawodzącą: Rozkaz.

Do snu kładł się już pułkownik, gdy wprowadzono jeńców, oficerów rosyjskich. Weszły tedy grube, rosyjskie płaszcze i te tak dobrze znane, na bakier zarzucone czapki. Nienawiść na śmierć i życie weszła do izby...

Wywiązała się rozmowa między naszym zwycięskim komendantem i tamtym, któremu dziś rozbito dwa bataljony, pokonanym. Dowódca rosyjski widocznie nie mógł się pogodzić z myślą, że walczy z Polakami.

„Poddani tego samego państwa“...

A dotkliwa prawda, że u tych poddanych siedzi na łaskawie użyczonym zydelku w niewoli, odbierała mu właściwie wszelką możliwość rozmowy.

Dwudziestego trzeciego grudnia strzelanina na rozwijającym się froncie poczęła jeszcze wzrastać. Dnia tego ostatecznie rozprężyć się miała żmija naszego ognia i przyjąć, wstrzymać jej wypadło masę rosyjskiego naporu. Front wyciągnął się tak dalece, że pchnięto do ognia wszystkie rezerwy.

Poszli trzymać wąwozy, by się w nie nie wcisnęły szare kolumny rosyjskie, na lewo komendanci: Olszyna, Fleszar, Grudziński; na prawo jeszcze dalej posunął się komendant Ryłski.

Około godziny jedenastej rano brakowało już amunicji. Szeregi nasze strzelały

z karabinów rosyjskich, których podczas walki poprzedniej zabrano bardzo wiele.

Walczące strony zbliżały się do siebie, szarpiąc się coraz zajadlej. Zwłaszcza na lewym skrzydle gwałt akcji nieprzyjacielskiej powiększał się. Dochodziło tu już do szesnastego ataku na bagnety.

Ogień artylerji, rzecz prosta, opuścił walczące z tak bliska fronty i szukał rezerw. Wyrwami ziemi rzucał po zaroślach, słupem rozdartej gleby pędził po stoku, to znów zacinał się, waląc tuż obok chałupy, w której całą rozprawą kierował podpułkownik Sosnkowski.

Kierownictwo mozolne, ciężkie przy wyciągniętym froncie i bez rezerw, gdy nieprzyjaciel, mimo ciągłych strat, pcha się naprzód i zmieniać może swe siły.

Chałupa drży od wystrzałów, otacza ją zewsząd syk kul karabinowych. Przed dowodzącym kupka pamiętych świstków — to meldunki z linii. Pod ręką blok do pisanja rozkazów. Poodał ordynans, który tylko co wrócił do swego oddziału, drży

jeszcze z podniecenia. Utyłłany w glinie, za paznokciami pełno ziemi. Usta spękane, aż granatowe.

Są już w ogniu dwie doby i jeszcze nic nie jedli.

Nic niepodobna dowieźć. Wozy w nocy pną się pod górę (zdaleka, w dole, jak sznury złote drżą światła Tarnowa) sierżanci prowiantowi pochrypli od krzyku, z koni dech wypierają, lecz błoto wsysa całą tę żmudę bezpowrotnie.

Ordynans wraca na „linję“ z karteluszkiem w garści. Jest on jednym z tych węzłów, małych a ważnych, przez które myśl i zdolność dowódcy dobiega frontu, by tu ogniem wybłysnąć.

Ataki nieprzyjaciela na nasze lewe skrzydło, cała praca Rosjan dzisiejsza zostaje udaremniona. Bataljony Satyra, Olshyny, Grudzińskiego stoją twardo, jak ich dowódcy i nie uradzi im wyborowa dywizja piechoty, specjalnie na sforsowanie odcinka, przez nasz Legjon zajmowanego, przysłana.

Wrogie linje już dwie doby leżące na przeciw siebie, poczynają wśród strzałów rozmawiać ze sobą, dzieli je bowiem przestrzeń trzydziestu do czterdziestu kroków.

„Poddajcie się“ — woła nasz.

„Sybirskie strzelki nie poddajutsia“.

Inna rzecz, że w boju na bagnety sybirskie strzelki nie mogły wytrzymać odwagi i siły ducha naszych żołnierzy. Ogromny drab padał na kolana przed małym Strzelcem wołając: — Nie zabijaj panoczku.

Po całej linji z ust do ust idą wśród ognia ostatnie wiadomości.

Ten, padając, krzyknął: „Niech żyje Polska! Legjoniści naprzód“.

Tamten się dziwi: Żebyś wiedział, jak bagnet miękko wchodzi w ciało...

Inni ubolewają, że Belina został ranny na progu kwatery podpułkownika Sosnkowskiego, gdy szedł ze skargą, iż jego kawalerja -w tym boju współpracować nie może.

Dnia 24-go grudnia 1914-go roku, kochanego dnia wilji, bój nie zelżał na chwilę.

Do kwatery dowódcy coraz przybywali oficerowie po sytuację, dzielni, spokojni. Trudno inaczej powiedzieć jak tylko, że najwyższa cnota wojenna spełniała się tego dnia, zwłaszcza, gdy na centrum pozycji przypuścili Rosjanie szturm przygotowany gwałtownym ogniem artylerji walącej w okopy.

Tam właśnie, mając obok siebie rannych i zabitych, w okopach śmierci i bohaterstwa bronili się nasi żołnierze, póki atakiem na bagnety nie zgarnął Rosjan ze wzgórza komendant Kuba-Bojarski, biorąc do niewoli kilkudziesięciu jeńców.

Kuba-Bojarski tegoż dnia, ugodzony kulami karabinu maszynowego, nazwisko swoje splótł na zawsze z chwałą łowczego wieckiego boju.

Wieczór wigilijny zastał nas na pozycjach. Między jednym meldunkiem a drugim, skorzystał z wolniejszej chwili porucznik kawalerji Orlicz (było to na kwaterze podpułkownika Sosnkowskiego), oznajmiając, że ma ze sobą opłatek.

Oficerowie zmieszali się, podporucznik Dzieduszycki piszący właśnie rozkaz, pochylił się nagle nad stołem, by ukryć gwałtowne wzruszenie. Mimo rozgłosu ustawicznych salw, łamanie opłatka słychać było tak wyraźnie, jakby można było chyba słyszeć szczęście, gdyby widomem i namacalnym dzielić się mogli ludzie między sobą.

Jeszcze jedna bezsenna noc trzecia, w czasie której przychodzi rozkaz dywizji, że cofać się mamy z zajmowanych dotąd stanowisk. Powoli wywlekają się z okopów pojedyncze sekcje i plutony.

W lesie śmierdzi prochem i cikliwą wonią trupów. Zwolna ostyga nasza linja. Kilka oddziałów ściągnęło już na drogę. Sanitarjusze unoszą rannych, bolejąc nad śmiercią mężnego kolegi Koloszka (Buława), który zginął na posterunku.

Ranni 1-go pułku zachowują się wspólnie. Mówią o pozostałych tam, w linji. Taka piękna wiara w życie prześwieca w hartownem cierpieniu naszych żołnierzy!

Śmierć w szeregu polskim nie jest dylematem: Jest czemś bez porównania mniej ważnem od zwycięstwa.

Drugi rozkaz dywizji każe znów objąć opuszczone pozycje. Wróciliśmy na nie w nocy, wyrzucając nowych gospodarzy naszej placówki bagnietem.

Wyborowa dywizja rosyjska, specjalnie, jak to jeńcy zeznawali, na przełamanie tego frontu wprowadzona, znów, wśród trzasku karabinów leżała całą noc przed cienką linią Pierwszego Legjonu bezsilna.

Nazajutrz, 25-go grudnia, w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, przycichło. Gęsta mgła nie pozwalała na walkę artylerji, ogień karabinowy słabł.

Koło dziesiątej rano przyszedł rozkaz z dywizji, iż będziemy zmienieni przez nowe siły, a przy tej okazji generał — „Dowódco, oficerom i całemu polskiemu Legjonowi za jego nadzwyczaj mężny bój wyraża w imieniu Najwyższej Służby uznanie i podziękowanie“.

Oddziały nasze zeszyły z pozycji, zostawiając przed sobą stosy nieprzyjacielskich

trupów (w pułku rosyjskim Benderskim po tych czterech dniach kompanje liczą dwudziestu do trzydziestu ludzi), u wroga sławę »atczajannych polskich achotników«, podziw wśród szeregów współwalczącej armji i najcenniejsze, tak dawno między sercem polskim a ziemią nie wiązane ogniwo: z ran żołnierskich w świście kul, w łomocie armat, na grudy spływającą krew.

LISTA STRAT

Tyle śmierci na małym, błahym świstku, tyle bólu, ran, krwi! Chcielibyśmy dotknąć ręką tych mchów, w które wsiąkła. Obejść wszystkie miejsca, zstąpić do wszystkich rowów i wiedzieć, jak to było do tej chwili ostatniej, wiedzieć wszystko.

Tyle śmierci na małym kawałku papieru, wszystkie już sobie podobne: imiona, nazwiska, jak ziarenka klepsydry sypią się równomiernie.

Przeżyć się musi i przeżyje się to wszystko, lecz jak przecierpieć, że wam zwrócą list, który nie doszedł, że wróci do was paczka, którą z uśmiechem najserdeczniejszej pamięci wypełniliście wszelką rzeczą drobną a kochaną!

Jak przecierpieć, że myśl tego nie rozumie! Przeżyć nie może i bluźni bogom, ludziom, sprawom, bojom.

Tą śmiercią, ciemnym jej blaskiem, my

żołnierze pijem sławę, wznosim zdrowie Ojczyzny. Śmierci ogromna i codzienna, wzniosła a tak dostępna, nie opuszczajże nas, właściwa ceno zwycięstw!

Młody porucznik Słomka-Dreszer miał lat dwadzieścia dwa, a już dostał kompanję. Był silny, rosły, tęgi.

Miał duże zielonkawe oczy, twarz różową, usta szerokie i duże mocne ręce.

Dowodził kompanją, odgrażał się, że mu się bataljon należy, tymczasem kompanję jego ktoś starszy dostał i wysunęła mu się z mocnych, prostych rąk.

To nie martwiło, to żarło Słomkę!

Wnet potem stanęła I brygada Pierwszego Legjonu w górach pod Łowczówkiem.

Tu nastał raj dla Słomki.

Bił się i pracował w tej bitwie, za dwóch, za trzech.

Mówi się, że ktoś pięknie idzie w bitwie. Jakże pięknie szedł, łapiąc w locie każdą robotę, wyjazd, meldunek, rozkaz. Walił mocnymi łydkami konia i gnał wzdłuż linji ognia, rozbuchany, gwałtowny,

sam zda się, ogniem zionący, co mu tam ogień dział!

Potem wracał do szefa sztabu i meldował, jak jest, i co i gdzie. Żar walił od postaci Słomki, biło od niego srogością, szczęściem i pośpiechem.

Trzeciego dnia padł komendant I-szego bataljonu. Padł i nie powstanie, bataljon musi mieć dowódcę, śpisz już kolego, więc nie przeszkadzaj, salwę ci jutro skomenderuję, ale dziś...

Tą śmiercią, ciemnym jej blaskiem, my żołnierze pijem sławę, wznosim zdrowie Ojczyzny: — dziś komendantem tego bataljonu został Słomka-Dreszer.

Mówił przecie kolegom, że mu się bataljon należy, cóż mu kompanja, za szeroką ma garść na kompanję, — sprawdziło się.

Wracał tedy komendant Słomka-Dreszer z głównej kwatery do swego bataljonu, a że już nie jadł od trzech dni, a że mu się gdzieś orzechy nadarzyły, — bo szczęście miał dnia tego — więc wracał wolno śnieżną drogą między pasmami

złotego lasu i pogryzał łapczywie te orzechy nadarzone.

Śnieg mu pod prężną stopą chrzęścił, niebo nad głową gnało potargane, w chmurach, w szarudze, dziadowskie może nieco, jak na tę radość szaloną...

Gdyż w samym Słomce ogromne rozrzewnienie i radość młodej dumy. Co mu tam, że tu kule świszczą koło uszu, co mu tam ogień, on sam jest ogniem buchający!

Nióśł tedy w czapce orzechy, gryzł, pojadał, rozpłomienioną głowę na mroźnym wichrze studząc. I właśnie wtedy poległ!

Orzechy z czapki wypadły, czapka się potoczyła, młody komendant Słomka-Dreszer pozostał na śniegu, pod złotymi strzępami lasu, z krwią na wysokim czole.

Chcielibyśmy dotknąć tych mchów, wiedzieć jak to się działo do tej chwili ostatniej.

Lista strat, lista rannych...

Wraca z patrolu bojowego, z przed linii tyraljerskiej, komendant Herwin. Idą

we dwóch, on i żołnierz, który go podtrzymuje.

Suną naprzód mozolnie i trudno nie słyszeć, gdy się patrzy na komendanta Herwina i na fatygę okrutną, z jaką się pnie pod górę, na żołnierza podtrzymującego dowódcę, na uścisk, który ich łączy, trudno nie słyszeć, że idą jakby w pieśni — »borem lasem«, odwieczni Legjoniści, w cichej skromnej pogodzie bohaterstwa.

Szef sztabu, podpułkownik Sosnkowski i ja spotykamy ich na zakręcie ścieżki.

— Cóż to znaczy Herwin — pyta Szef — jesteście ranni?

Herwin patrzy zgóry na martwe swoje ramię; niebieskie oczy powleka cień pobłażliwej troski.

— Ach, tak, — odpowie. — Ach tak — jestem ranny.

— Czemuż was nie odniosą sanitariusze? — pyta szef sztabu.

— Komendant także w piersi jest ranny! — wtrąca zapobiegliwie żołnierz.

Herwin błądzi oczyma po lesie.

— Ach, tak — przypomina sobie — i w piersi, lecz to głupstwo.

Ach, tak — brzmi, niby lekkie uderzenie wahadła. Tyle w tem jest prostoty, że ramię strzaskane i rozerwana pierś zda się być drobnostką.

Poszli na punkt opatrunkowy, tu znów Herwin oświadczył pobłaźliwie — ach, tak, głupstwo. — Przeczekał, póki innych opatrzą i, — przeraził doktora... Okazało się bowiem, że ma część piersi zdartą i cała opłucna jest na wierzchu.

Idą do was nazwiska nasze z rowów, z lasów, ze śniegów i z pól rozkopanych. Na białej kartce pisze tu wojna swój długi zwykły list, który wam w drżące ręce wtyka wieczna Sprawa Ojczyzny.

W Krakowie, Warszawie i Lwowie, na pięttrze, czy też w suterynie, na fałistej wstędze drogi kieleckiej, w białej chacie i obrośniętym dworze, — jakby go jeszcze stary Andriolli śnił — wszędzie, gdzie was dojdzie ta lista, ów list Ojczyzny związły i bezwzględny, czytając

go... Czytając te nazwiska, czytajcie jakbyście słowa ważne, lecz całkiem potoczne składali.

A skończywszy, powiedzcie jak Herwin krwią broczący, iżby to przeszło równo, niczem równe uderzenia wahadła: Ach — tak...

Uderzenia wahadła przybliżają dźwięk wielkiej godziny, a wszystek ból, którego odmówicie sobie przedzierzgnie się gdzieś dalej, wyżej, — w rysy godnego i silnego Narodu.

NOWY ROK W POLU (1914—1915)

Było to po ciężkiej, czterodniowej bitwie łowczówieckiej. Właśnie zaczął się nasz żołnierski wypoczynek, inny niż wszelkie wypoczynki ludzi pokoju. Odpocznienie z ran i krwi i od pobliskiej śmierci, odpocznienie po wysiłku bitewnym, który upaja jak wino.

Zajęliśmy na kwatery kilka wsi. Rozeszła się po chatach, zjeżona, chrzęszcząca żelaziwem kolumna piechoty.

Odeszła gdzieś wbok, na leże, kawalerja.

Czas był słotny. Dopiero wieczorem 31 grudnia mróz począł brać i jakoś razem z tym mrozem przyjechał oficer od Beliny, — że w myśl poprzedniego zaproszenia, czekają na nas i że już pora.

Staliśmy w pustym pałacu, raczej we dworze starym, w którym z dawnego zbytku zostały tylko łóżka, szklana ga-

blotka z fotografjami przeróżnych krewnych, wreszcie fortepian o strunach popiołem i tytoniem przesypanych.

Zapomniane na ścianie lustro powiększało jeszcze ostentację dokonanego tu spustoszenia.

A przecież nigdzie podczas wojny nie czuje się człęk, jak w starym, polskim dworze, gdzie mu się przychyła niski pułap przedsionka, gdzie ostrodze i trzaskom szabli potakują w mroku echa schodów wytartych!

Ze świecami w ręku, płosząc cienie i wspomnienia, zeszliśmy przed zajazd.

Osiodłane konie czekały już przed gankiem. Trzeba wiedzieć, że żadne konie jak nasze, nie umieją czekać w mroku przed dworem. Żaden tak łba nie zwiesi, z nogi na nogę nie przestąpi i ogonem przez srebro księżycy nie machnie, właśnie, jakby go stary Kossak podpastrywał!

Ruszyliśmy z brygadjerem Piłsudskim i podpułkownikiem Sosnkowskim na czele w mgłę miękką, drogą wśród jarów i pa-

rowów, mierzwiąc srebro napotykanym wśród marszu strumyków. Mgły się rozstały wkrótce i znaleźliśmy się jakby w łożysku perłowych ostępów, wykładanych hebanem lasu.

Blżej celu podróży — trudno rzec, iżśmy wjechali do wsi, lecz ona sama nas ogarnęła: polska, zimowa wieś.

Mignęły pochyłe chałupy, ślipające po nocy okienkami, przewinał się pośpieszenie cień utrudzonych stodół. Na ganek małego domostwa wybiegli oficerowie kawalerji.

Przywitanie!

Weszliśmy do saloniku, który w normalnych czasach nie zwróciłby niczyjej uwagi, który jednak w czasie wojny wydał się nam ostatniem słowem wykwintu i nowoczesnego szyku. Po krótkiej gawędzie, po szumnych uprzejmościach i grzecznych duserach, przeszliśmy na kolację.

Prawdziwa kolacja, złożona z rzeczywistych dań, to na żołnierskim postoju dzieło niesłychanie złożone, czasem nie-

prawdopodobnie trudne do wykonania, zważywszy, że w danej miejscowości nic niema i że — »Moskale wszystko zabrali...«

Dzieło to tworzy się z resztek, jakie pozostały po ostatnim postoju, z wysu-
płanych u kogoś laseczek cynamonu, ziarn-
ek gwoździka, ze zdobytej gdzieś z tru-
dem mąki i jajek, zresztą któż to wie jak?

Dość, że uczta odbyła się na rzeczy-
wistym białym obrusie i wino było i pie-
czeń, ciastka i razowe, przedziwne fa-
worki. A przedewszystkiem było to, co
się żadną miarą opisać nie da, mianowi-
cie, kawalerska uprzejmość, zawadjacki
rycerski ton oficerów naszej jazdy.

Jeden z nich wznosił toast na cześć
Komendanta, który z nas, rozgadanych
studentów, uczynił żołnierzy i na »bacz-
ność« milczeć nauczył.

Odpowiedział mu Komendant w myśl
tyloletniej, pięknej swej pracy, której ce-
lem wychować Polskę żołnierzy-obywateli.

Oficerowie piechoty wiwatowali na
cześć kawalerji, oficerowie kawalerji na
cześć piechoty, aż wszystkich wywabił na

ganek ruch i rumor coraz większy, po-
wstający przed domem.

Chwila, którąśmy przed domem ujrzeli
była piękna, jakby żywcem z rysunku
Grottgera: w sinawem lśnieniu mrozu,
pod stropem białych gałązek, na tle drzew,
niby kanwa starego srebra biegnących
w dal, stanęły czworobokiem plutony
szwadronów. Kolejno komendanci pluto-
nów składali życzenia dowódcy szwadronu,
a on, ogromny, rosły, całował jednego po
drugim, potem od żołnierza do żołnierza
szedł, wymieniając uścisk dłoni.

Życzenia w ciasnem, polskiem obejściu,
gdzie mieści się i zmieścić nie może ser-
deczność żołnierza, karabinowemi salwami
wystrzelał w górę, — skrzydłem śpiewu po-
lata.

Aż wreszcie stanął przed Komendantem
dowódca szwadronu i w obecności czwo-
roboku szablą ukłon oddawszy, życzył aby
na przyszły rok...

Po nagiej klindze, schylonej w odda-
niu czci, spływała poświata uroczystej
nocy żywą, cudowną tęczą!

OKOPY

Jedzie się do nas, idzie się do nas drogą nijaką, której niema. Wyjeżdżają cichaczem o zmroku koła wozów, to w prawo, to w lewo, że się czarnym wachlarzem wielu grząskich kolein wszelki ślad w śniegu rozbiega.

To znów kolej prowadzi prosta, głęboko w bródę wryta. To znów droga się rwie i niema nic prócz lasu i skrzypu drzew owisłych; nic prócz nieba, co nabrzmiałą chmurą wiosenną przetacza się na sinych dalekościach; prócz wiatru, co pędzi przed się cały świat i spędzić go nie może.

Gdyby człek rzeczy nieświadom spojrział na szlaki ku nam prowadzące, lub raczej na bezdroża, za którymi jesteśmy, nie dostrzegłby więcej jak nieustanne przeciąganie nieba i ziemi przez blade drżenie mgły.

Widok, jak wszędzie u nas: bezdroże, poryw wichru gwałtowny i mostki połupane, zdraдлиwe. Chaty zbite w gromadę, koło chat ule, czepcem słomy nakryte! Jest tu wszystko jak wszędzie i jedna tylko rzecz mała świadczy, że się tu inaczej dzieje, niż wszędzie indziej.

Oto na polach i nad niemi, między chałupami i wedle płotów, krytych srebrzem najszanowniejszej pajęczyny, przeciąga się, kołysze popielato-złoty, sztywny włos, przedziwo nikłe, a strasznymi skutkami rządzące...

Włos ten, tu zabłąkany, a wszędobylski, otacza szczególna piecza i szacunek. Gdy ów włos padnie na drogę, stronić będą od niego zgrzytliwe koła ciężkich wozów. Nawet bezceremonialna zazwyczaj w pochodzie swym, wszystkich i wszystko rubaszenie szturchająca kuchnia polowa, gdy go spotka, zatrzyma się, ziewnie raz drugi kłębem dymu, wybuchnie ogniem i w bok wykręci.

Włos ten, gdy padnie na pole, podniosą i ustawią na tyczkach, takich wy-

gód doświadcza. We dnie kłania mu się nisko kawalerzysta, w nocy osadza gwałtownie konia i słyszysz, jak przestraszony woła koledze:

— Drut! Drut!

Cienki drut telefonu, niby widome włókienko, niby nerw bardzo czuły, obudzić może w jednej chwili gromy armat i bełkot karabinów maszynowych. Rozwinie wstęgę powietrza z sykiem nawijającego się na granat, rozpruje biały dzień przeraźliwymi salwami piechoty. On również sprawi, że nagle z krzykiem pójda ludzie na bagnety.

Jedziesz dalej, pusto tu coraz bardziej. Nie miejscowość, a jakieś — nigdzie...

Tylko widać na rozfalowaniu ziemi, między grudą a błotem, w nadąsanej szarości wiosennego nieba i wzgórz i wody, jakby dwie naprzeciw siebie wyciągnięte blizny szaro-białe.

Nie blizny to są, a jakoby rzęsy stulone; kiedyś podjechał bliżej, widzisz: nie rzęsy, lecz okopy. Drut uczepił się chaty, która z kilkoma innymi otacza

mały, rozkopany placyk. W jednym rogu stoją w kaskach na bakier ułani nasi dwaj. Z którychś drzwi wybiega piechur i gwiżdżąc wesoło, gdzieś dąży. Niesie w czerwonej chustce chleb i masło.

— Wejść! — odpowiada na pukanie komendant bataljonu.

W izbie, jak w izbie, gdzie wojsko mieszka: małe dzieci ogromnemi oczyma patrzą z kątów, za stołem siedzi kilku oficerów i ogryza kości koguta, ktoś wyciągnął łyżkę z za cholewy i zabiera się do zupy.

Adjutant Suszkowski grzebie w kupie listów.

— Było tu coś dla was, obywatelu, nie bójcie się, pamiętam.

Kapelan w jednej ręce trzyma czyjś mundur, w drugiej rozwarty brewiarz. Doktor melduje coś komendantowi bataljonu. Dwaj podporucznicy, siedząc okrakiem na ławie, grają we »frygę«. Mała kostka przechodzi z ręki jednego do drugiego, warcząc złowrogo.

Baba łamie chrust przy piecu.

Chłop jakiś kłania się o przepustkę.

Konie tupią za ścianą i słysząc głębokie — no-o, — ordynansów.

Sierżant rozdaje paczki, a adjutant siedzi na polowym łóżku i gra na mandolinie. Głosy się płaczą, sprawy się spotykają i wyrównują, gitara drży jakby z niej łzy płynęły a nie dźwięki.

Nagle huk zatrzęsł szybami, konie cisnęły się w popłochu. Słysząc wstęgę niewidzialną, szumi po niebie, z sykiem jedwabistym rozwija się pośpiesznie.

— Nasza baterja zaczyna, chodźmy zobaczyć.

Idzie się zwartą ziemią, wpada się w rowek nieznaczny, coraz głębszy, aż wreszcie mogący zmieścić i zakryć chyłkiem idących ludzi.

Przewody, wykręty, zakręty i zgięcia, us-trój jakiś, organizm cały, wijący się po ziemi.

Nareszcie wszystkie drogi prowadzą się do jednej, głównej, krytej zsuniętym naprzód daszkiem. Widać stąd bardzo dobrze okopy wroga. Unosi się nad niemi sinawą taśmą dym.

Jakby długa, biaława gąsienica leżała naprzeciwko.

Złota iskra wybłysła na jej kadłubie! Prysnał w górę słup ziemi.

Celnie bije nasza artylerja.

Jeszcze nie rozpełzł w powietrzu łachman dymu, gdy z jęczącego nieba pada nowa iskra i druga, trzecia, czwarta. Cztery słupy ziemi skruszonej buchają z okopu, a nie ujrysz ani jednego człowieka... Kto padł, ten leży, komu krew z ran uchodzi, tego odejdzie, lecz aż do zmroku nie drgnie tam nic, aby gniewów jeszcze większego ognia nie rozpasać.

Co krok, pod przykryciem w stojakach rzędy karabinów, co krok w szarym płaszczu piechur Piłsudskiego. Ni to wzgardliwy, ni to pobłażający, patrzy w stronę wroga z nudą i z pozewaniem.

Wiatr dmie, malutkie słupki piachu kręcą się pod nogami, Strzelec w żółtym okopie, jak kret sunie przez piach — już znowu ujrzał cel...

Patrzcie, może to najistotniejsza dziś w Polsce chwila: jak ten zwinny Piłsud-

czyk, broń o strzelnicę wsparłszy, celuje... Powieki drżą, niby maleńki motylek osiadł mu przy brwi. Za skrzętem mięśni na plecach tężą się fałdy płaszcza. Palec na cynglu. Teraz już powieka ani drgnie, skrzy pod nią ostre spojrzenie, wymierzające cel.

Część na okopach, druga zaś odpoczywa w okopowych mieszkaniach. Nie są to bowiem kryjówki, nory, i lepianki a „mieszkania i kwatery“, często opatrzone numerem domu, szyldem, nazwą.

Tu na drzwiach małych, w jamę wstawionych, czytasz: „Pierwsza strzelecka fabryka żywych wędlin“.

Tam dalej przybito na nieprzemakalnej szmacie, która zakrywa wejście: „Hawelka — Handel delikatesów“.

Tam znów — „Pod palmą“.

Bywają i bardziej groteskowe napisy: „Pod upieczoną wszą“.

Niech nikt nie myśli, że ustało tam życie towarzyskie. Przy wszystkich okazjach, z racji święconego napewno odbywać się tam będą wizyty, jak w najnor-

malniejszym towarzystwie. Żołnierz odchyli szmat nieprzemakalnego płótna, czy odeprze przemarznęte drzwi i posuwając się na czworakach:

— Cześć wam, obywatele — zawoła, nie widząc narazie nic w mrocznej przestrzeni, pełnej dymu i zapachu sośniny.

— Co jest, do cholery! Drzwi zamykać! — huknie głos z wewnątrz.

Gość wtaczać się pocznie na czworakach, ostrożnie omijając co krok nogę czyjaś, but, koc, lub manierkę. Podsunie się do maleńkiego piecyka, przyjmie pewną stałą pozycję, naturalnie z uwzględnieniem wszystkich obcych ciał, ułożonych kunsztownie, a które uszanować należy — i przyłączy się do zabawy.

Polega ona tu na gotowaniu herbaty, grzaniu wina, tam znów znajdzie się fifak, który kawały opowiada, że kominem na okap śmiech leci z podziemia, jakby w niem wszyscy diabli rechotali.

Owdzie obmyśla się sposób na złapanie nieprzyjacielskiego patrolu. Tam grają w karty, tu pracuje „redakcja“ dziennika

okopowego. Jeszcze gdzie indziej ktoś dmucha w okarinę, a drobniutki głos instrumentu kluczy z pod słomy, ni to małe porywcze źródółko.

Nadchodzi uroczysta chwila zmroku, gdy pod okopy zajeżdżają »feldkichy« (Feldküchen — kuchnie polowe).

Jak to smakuje! Smakuje tak cholernie, że jedząc, ludzie oczy szeroko otwierają, jakby własne zbawienie połykali.

Nastaje noc ogromna. Ciemność spływa na wojenne obszary. W ciemności tej, minawszy sieci drutów kolczastych, zsuwają się wdół ku rzece patrole. Niech tu nie dźwięknie broń, niech się głos nie odezwie, niech się oddech nie zdradzi. Oczy widzą, jak kocie, uszy słyszą — jak nigdy.

Nie wolno strzelać, bo jeśli się ogień na linii nieprzyjaciela przebudzi, nikt stąd cało nie ujdzie.

Brać ich tak, by nie zdążyli pisać. Podejść i brać, bagnet do piersi przystawiwszy. Ach, bagnet — cichy język piechura.

Lub padać coprędzej, bo oto wyszedł na niebo polip straszliwy — przeraźliwa, sino-niebieska ośmiornica...

I szepnąć, leżąc w bruździe: — Re-flektor...

Szuka płaskiem, wypreżonem ramieniem światła, szuka; czego się tknie, to natychmiast bieleje. Szarością trupią okrywa się krzak, sine wiry zaigrały w kałużach. Zsiniła nagle chata.

Szuka tu, szuka tam żrenicą rozprężoną. Zda się, iż przebieg samej nocy spłoszonej widać w tem świetle sztywnem. Ostatnie liście zeszłoroczne czarnym strzępem na drzewach dygocą. Niestłyszalnie łązi polip po niebie, wywija świetlistymi ramionami, jakby chciał wszystkich złapać w swe objęcia przestrzenne.

NASZE LISTY

Pisze się to na pudełku, na gazecie, na paczce, na kolanie, między garnuszkiem musztardy, talerzem, kompasami, szturkając łokciem zwiędły koniuszek cytryny, w cieniu czapki, pośród raportów i browningów.

Pisze się to »gdzie bądź i byle jak« o naglej porze. Tego — »gdzie bądź i byle jak« nie potrafię wysłować, bo się nie da. Jak nie da się opisać nasza wielka tęsknota, którą tu odczuwamy, pośród tego »gdzie bądź i byle jak«.

Zstępuje ona na wszystkich i oto siedzą skuleni nad białymi świstkami, marszczą brwi, piszą i w małych znaczkach zawartą, posyłają w daleki świat tę szczupłą odrobinę wielkiego swego losu.

Mijając konno wieś, przejęty mrozem i czarnością nocy zimowej, widzę, jak za szybą okienek chałupy czuwa Strzelec i w blasku świecy pisze.

Koń wolno idzie po grudach, mróz mnie chwycił za palce, wiatr dmie w twarz, samotność moja kłania mi się od nieba aż do ziemi...

A tu znów we dnie zasiadł Strzelec u proga chałupy, patrzy w niebo błękitne. Czeka tu czyichś głosów, które bładzą w powietrzu.

Idę prędko po grudzie, dmie ku mnie dech wiosenny.

Ten znów, kawalerzysta w groźnym kasku stoi u studni przy żłobie i snuje jakieś słowa rzewnego ukochania.

Gdzieżeś jest ukochana — smęci się młody oficer, gdy już wszystkie sprawy oddziału załatwił i patrzy poza okop w dal nieprzeniknioną.

Spisz jeszcze, — dłuży się dyżur młodemu oficerowi, — podczas gdy słońce z nad pustych zrębów horyzontu wstaje i splecione ręce młodzika spaja tkliwą słodyczą.

Wróć do ciebie, wróć — roi sobie zrywający się z rezerw żołnierz, gdy równocześnie szyby trzęsą się od huku armat.

I pisze w liście: Nie wiem, kiedy wrócę,
bo teraz bijemy się i czasu nie mam o to-
bie myśleć!

A inny pisze: — Donieście mi, gdzie
jest mój brat, wyszedł z Krakowa pięć
dni po nas i odtąd wcale nie wiem, gdzie
się obraca? Napiszcie braciesam, jeśli jesteście...

A brat po stromej drodze pędzi gdzieś
w gwizdzie kul, obcy w stronach dale-
kich, zdziwiony i myśli myślą nagłą: gdzie
jest mój brat, wyszedł pięć dni przede mną?

A tamten: Korzystam z tej okazji, Ko-
chani Rodzice, aby donieść, że dzieje mi
się dobrze. Gdy się wszystko ułoży i do-
brze pójdzie, wrócę do domu... — No!!!
Dziś na kwaterze córeczka we dworze,
gdzie stoimy, wpada do jadalni podczas
obiadu, niosąc przytulonego do piersi za-
jaczka z pola. Ten szary, miękki kłaczek
strachu, ciepła i szybkości, — to malutkie
stworzenie drżało, gdym je brał, jakbym
spłoszoną wiosnę w garści trzymał. Czy
dojdzie was ten list?

Ordynans umył sobie do pisania ręce,
leży na słomie, w stajni, w błogim za-

pachu koni, w cieple i pod rytm chru-
panego owsa, rachując stopę wiersza wedle
końskich przestępowań, układa:

*Niech będzie pochwalony Chrystus i Maryja,
Niech się imię twoje po świecie rozwija...*

Nie mogę pisać co robimy,

Ani też w którym mieście stoimy.

Teraz proszę przyjąć to powinszowanie,

Bo nie za nas nastąpiło i nie za nas przestanie...

Pozdrawiam cię Marysiu przez koliczek

[w płocie

Bo cię mam na myśli przy każdej robocie,

Teraz cię pozdrawiam — zielone pnie —

Bo mi się bardzo bez ciebie cnie...

Pozdrawiam cię przez koniuszek igły,

Żebyś się na mnie nie gniewała nigdy.

W dniu twojego imienia

Na same wspomnienia

Brak mi wystowienia,

Przyleciał słowiczek siadł mi na ramieniu,

Tak mi pięknie śpiewał o twojem imieniu,

Żebyś szedł najprędzej powinszować do ser-

[duszka twego

Tak pięknie wyśpiewał do ucha mojego...

Wbiegła dziewczynka, niosąc przytulonego do piersi zajączka. Szary, miękki kłaczek ciepła, strachu i szybkości, maluchne to stworzenie drżało, gdym je wziął, jakbym najświeższą wiosnę w ręku trzymał. Czy dojdzie was ten list?

List dojdzie, lub nie zdąży, lub krew skronią popłynie.

Bo to nie za nas nastało i nie za nas przestanie.

IMIENINY KOMENDANTA

Zamieciono wielką salę opuszczonego dworu. Zapowiedziano, by nikt nie rzucał niedopałków na podłogę.

Przy schodach ukryliśmy orkiestrę.

Obsadziliśmy czujnie telefon, by dano nam natychmiast znać, gdy Komendant wyjedzie z obrębu baterji. Obsadziliśmy drogę prowadzącą do dworu, by zawczasu widzieć, kiedy się orszak zacznie zbliżać.

W sali zbierają się oficerowie ubrani odświętnie, — jeśli można mówić o paradzie tu w polu. Polega ona na tem, że się nie rzuca niedopałków na podłogę, że się ma oczyszczone buty i twarz ogoloną.

Już przyszedł ogromny, zupełnie do Scypjona Afrykańskiego podobny, komendant karabinów maszynowych, Słonecki. Chodzi między oficerami i opowiada jakąś niesłychanie krwawą i niebezpieczną wyprawę.

Już jest ponury i twardy komendant saperów Dąbkowski.

Najpocziwszy szef żandarmerji polowej, Jur, odznacza się dostojnie swą zacną brodą i słycać, jak wywodzi rzewnie:

— Bracie kochany!

Mistrz ceremonji, podporucznik Sulistrowski, przyjmuje wszystkich, wzorem będąc wojskowego wykwintu i słodczy. Właśnie mruży oczy subtelnie i ściska rękę kapitana Berbeckiego.

Stopniowo zjawiają się: komendant bataljonu kapitan Fleszar, kapitan Scaevola-Wieczorkiewicz, major Śmigły, kapitan artylerji Śniadowski, komendant Brzoza, i inne wyższe szarże, witane wojskowym ukłonem. Przedostają się powoli przez ciżbę młodszych oficerów, raz wraz podając rękę.

W sali już niebiesko od mundurów, trzask szabel miesza się z tonem rozmowy i uroczystem szurganiem butów.

W kącie huczy głośno nieporównany podporucznik Dzieduszycki, ciągnąc za sznur księdza kapucyna Kosmę. Porucz-

nik Litwinowicz dogaduje, wyzierając dobrotliwie z poza okularów, dziwnie krępy i zwięzły, obok wysokiego kapitana Wyrwy.

Wchodzą zawsze śpieszni kawalerzyści w ogromnych czakach: Belina, Orlicz i Wieniawa.

Równocześnie za drzwiami w drugim pokoju wre praca gorączkowa. Tu opuściwszy ceremonję powitań, króluje Sulistrowski. Układa nakrycia stołu z czystych poszewek i prześcieradeł, kombinując ilość talerzy i kieliszków, by wystarczyło dla wszystkich.

Nagle wrzeszczy ktoś w korytarzu: Komendant jedzie!!

Wszyscy rzucają się do okien i wypatrują przez klomb na drogę, po której świeży, wiosenny wiatr przegania suche chłody nieprzebudzonej jeszcze wiosny.

Daleko na szarych polach długie pasma śniegu i różgi drzew i rzekłbyś dym, — wieńce zmarzniętych krzaków.

Jedzie Komendant!

Orkiestra rżnie już marsza.

Przed klomb zajeżdża w szarej świtce Piłsudski, za nim major Trojanowski, dr. Rouppert, kapitan Kasprzycki i inni.

Gdy Komendant wszedł, staliśmy półkolem w podkowę. Zabrział jeden dźwięk ostróg, siwe mundury sprężyły się, służbista gotowość zaciężyła na twarzach.

Jeśli podkowa jest znakiem pomyślności, to ta, żywa i szara, w której kształcie staliśmy, najwierniejszą jest, jaką Komendant w swoim życiu znalazł.

Wystąpił major Śmigły, przemawiając uroczyście, jako że, — ufamy naszemu Dowódcy oddawna, lecz boje, do których nas prowadził, ufność naszą i oddanie ustokrotniły. I, że nie masz dla nas zadania dość trudnego, gdy z Jego wynika komendy i — byśmy te imieniny za rok obchodzili w wolnej Warszawie!

Cisza i bladość twarzy i oczy wpatrzone w Piłsudskiego, głębokiem wzruszeniem błyszczące.

Major Śmigły wręczył dar od korpusu oficerów brygady Pierwszego Legjonu. Komendant podziękował, salutując.

Następnie winszowano od poszczególnych oddziałów. III-ci bataljon 1-go pułku wręczył piękny album, szwadrony ofiarowały adresy z podpisami. I znów życzenia i znów krótki ukłon Komendanta.

A teraz uroczysty obiad! Nasz bal kolosalny, pyszny, olbrzymi, w zimnej sali, ale to nic, pomyśl, gdy siądzie tu kilkadziesiąt osób, nie będzie zimno!

Nasza agapa fenomenalna z dętą orkiestrą za drzwiami, grzmiącą w czterech ścianach potężnie, jak na błoniach rewji.

Ryby w majonezie, kawior w puszkach blaszanych i sardynki i czerwone szczypce homarowych łap! Nie dziwota tedy, że nam na takie cuda oczy na wierzch powychodziły jak rakom i żeśmy przewalczywszy wstępne, skromne ociąganie, żywo zasiedli do stołu.

Komendant Piłsudski pośrodku, szef sztabu Sosnkowski z jednej strony, z drugiej poseł Daszyński, dalej szarże od wyższych ku niższym, a na końcu sprawiedliwi podporucznicy, czule ku wyżynom stołu i zakąskom wyglądający.

Muzyka rżnęła wszystkie marsze dalekich, krwawych pochodów naszych, bitw i głodu, chłodu i uroczystości. Jadło się za te wszystkie czasy i za przyszłe, za tych, którzy padli, lub padną...

Jedzenie szło równo, napitek równo, a rozmowa wybuchami. Raz wraz widać jak, niby dwa obwarzanki, splatają się ramiona oficerów.

Gdy mówca wzniósł zdrowie Komentanta, buchnęła orkiestra spiżowemi surmami »Jeszcze Polska«.

Zerwaliśmy się wszyscy jak jeden mąż i dobywszy szabel, prastarym obyczajem skrzyżowaliśmy ostrza nad stołem, że błyskawicą powiało nad głowami.

Więc dalej zdrowia i owo tkliwe, gorące zdrowie braci żołnierzy z Drugiego i z Trzeciego Legjonu.

Mrok już zapadł, gdy się wspaniała biesiada skończyła i gdy na cynowych talerzach roztopiły się resztki lodów. Rozmowy plotły się teraz grupami. We wspólnym mundurze, niedawni studenci, odgrzewać jeliśmy »stowarzyszeniowe kawały«.

Tyś był tym — tyś był tamtym.

Pamiętasz, jak rozbiliśmy wam wtedy zgromadzenie?!

Tyś mówił, że ja się nigdy wśród was nie znajdę!

A dlaczegoście robili taką cholerną opozycję?

Wspomina się te czasy, jak zabawne dzieciństwo, które znikło odrazu, gdy powaga Sprawy stanęła we wrotach zgromadzeń.

Inni opowiadają sobie swe przygody, rysując na czym się da, na stole, krześle, czy kolanie — plan sytuacji. Jeszcze inni oglądają album, który III-ci bataljon 1-go pułku Brygady ofiarował dziś Komentantowi.

Jest to księga z szarego, grubego papieru, tak podobnego do barwy naszych mundurów. W jednym rogu okładki, w czerwonym, giętym ramowaniu oficerskiej odznaki Pierwszego Legjonu błyszczą gwiazdka podporucznika, brzeg przecinają na wzdłuż trzy czerwone paski, odznaka sierżanta.

Na pierwszej stronie w objęciu pięknie stylizowanych gałązek świerkowych napis dedykacyjny. Dalej historia III-go bataljonu.

»Gdy Twa wola niezłomna — głosi pismo — powołała nas ośm miesięcy temu do nowej wojny o Niepodległość naszą, pierwszymi z Twoich żołnierzy, którym szczęście przypadło sformować się w jednostkę bojową, przejść wraz kordony, bić się z Moskalami, byli żołnierze dzisiejszego III-go bataljonu 1-go pułku piechoty polskiej. W dniu 3-cim sierpnia stworzyłeś z uczniów szkół wojskowych obu zbratanych organizacyj strzeleckich pierwszą kompanię kadrową wojska polskiego. Było ich blisko 160, tylu, ilu podchorążych niegdyś w noc Belwederską. Pod komendą obywatela Zbigniewa (Kasprzyckiego), dziś kapitana Twego sztabu, przekroczyliśmy 6-go sierpnia granicę, a 8-go sierpnia zajęli Miechów. Tutaj z kompanją 1, prowadzoną odtąd przez ob. Herwina, połączyły się dalsze kompanje w liczbie pięciu, sile 372 ludzi. Z głównej ich

masy sformowano kompanję drugą ob. Zosika, dotąd jej komendanta, trzecią ob. Scaevoli, dziś kapitana, komendanta dzisiejszego III-go bataljonu«.

Parę ustępów niżej:

»Bataljon III-ci miał szczęście spełnić swą powinność w potyczkach koło Opatowa i Nowego Korczyna (potyczka pod Uściskowem i Stróżyskami 19 września), w rekonesansie około Garbatki w pobliżu Iwangrodu 21 października, w boju leśnym pod Anielinem (22 października; odparcie oskrzydlenia nieprzyjacielskiego atakiem flankowym, 170 jeńców); w trzydniowej bitwie pod Laskami (24, 25, 26 października); w boju pod Brzechowem 31 października, w przeprawie: z pod Krzywopłotów przez Ulinę Małą do Krakowa (utarczka 10 listopada); w nocnym napadzie na Chyżówki (23 listopada wzięty do niewoli szwadron jazdy), w szeregu walk dokoła Limanowej i Nowego Sącza, wreszcie w bitwie pod Łowczówkiem (22—25 grudnia 1914, rozstrzygający atak III bataljonu, szczególnie pierw-

szej kompanji po utracie wszystkich oficerów prowadzonej przez sierżanta Kalinę-Zieleniewskiego, dziś podporucznika, paruset jeńców)«.

Na wstępnych stronicach fotografie komendantów bataljonu i szarż a dalej, kompanjami, podpisy żołnierzy wprawne, wyrobione, doktorskie i proste, jakby orane piórem na papierze i zupełnie niezdarne, drżące, wreszcie znaki pod podpisem — krzyżyki chłopskie.

Zmierzcha się już zupełnie.

Przewracam stronicę albumu i oczy mi się w mroku mącą: zwiduje mi się, że się te podpisy nietylko na kartach księgi snują, lecz że drżą i nade mną, w całej izbie, za izbą i wśród pól i daleko na szarem niebie — i wszędzie na tej ziemi.

SŁOMA

Słomo, słomo rodzona — dobre zboże
Ojczyzny!

Wąsiku nasz zielony, radosny puchu
wzgórz, dumo kłosów rozrośniętych, wy-
gięty, pyszny łuku łańców urodzajnych,
piękny ukłonie zasobności, — szumie, szu-
mie cudowny!

Kwiaty, kąkole, chabry, złotość, chwa-
sty i szczęście — szumie, szumie cu-
downy...

Słomo, słomo rodzona, opieko i ponęto
żołnierza: słodczy żołnierskiego snu,
kłopotcie i radości, dobra nakrywo utru-
dzonego ciała, szeleszczący śmiechu prze-
budzenia, doradczy szmerze powstań na
alarmy!

Ty złoto chrupkie, łomkie, czyste, a do-
stępne, ojcowskie, matczyne, gospodar-
skie! Ty dobre, zacne słońce, w kłosikach
zimujące, ty, żaru promienie, przecho-

wane w stodole — zimowy śnie zgasłego lata, poskładany, powiązany serdecznie aż do nowego lata.

Kwiaty, kąkole, złotość, chwasty, pożytek i szczęście, — szumie, szumie cudowny!

Słomo, którą chwytamy, szeroko rozwarłszy ramiona, jakbyśmy całą rodzinę brali w swoje objęcia!

Gdy piechurzy czekają na cię w nocy, śpiąc nad stołem, drzemiąc nad łyżką, a z pod obrazów, z matczyngo łóżka patrzą na nich dzieci, jak to żołnierz wali z siebie żelazo, broń, rzemienie, pasy, cały ciężar wojenny...

Już szumisz! Szumisz, niby złote godła wschodniego obrządku. Otwarte drzwi, obłok mrozu wzdał się na progu izby. Noc się w drzwiach ukazała od śniegów biała na ziemi, gwiazdami na czarnem niebie nabijana.

Z tej nocy niosą cię na swych ramionach i przybywasz, ty słońce minionego lata, w łomkach promieniach przechowane w stodole!

Słomo, którą się rzuca na klepisko, iż spływasz z powróła jak z przechylonej konwi wino w Kanie Galilejskiej, giętką złocistą strugą. Utonie w tobie trud żołnierza, potoną dolegliwości odbitego na wojnie ciała. Gorąco skroni tętniących ustatkujesz swem ciepłem.

A to, żeś świeża i czysta, przeto pod spieczoną powieką żołnierza, jakby błękitem nieba tchniesz. A żeś jest taka świeża i szumiąca, wygnasz z uszu twarde echa wystrzałów i słuch szumem napełnisz.

Kwiaty, kąkole, złotość, chwasty, pożytek i szczęście — szumie, szumie cudowny.

Zdrowe, kochane zboże, słomo, słomo, rodzona! Pod ciemnym dachem chałupy, między czterema ścianami, białemi jak opłatki, leżysz, złota otoka światła, fala chrzęszcząca, wonna, jakby cię anioł z chałupy do chałupy na sklepisko kładł!

Gdzie ciebie niema, — jesteś wszędzie!... Jak najśłodsza najwierniejsza kochanka opleciesz mocnym, ciepłym war-

koczem strzemiona ułana, by nie dźwiękły,
gdy pędzić będzie blisko swojej śmierci.

I ty, bezradna słomo niziutkich dachów, którą na dalekiej zatraconej placówce wyszarpuje koń, jak kudły ze łba bezgranicznej jakiejś Dobroduszości!

Ty zła słomo artyleryjskiej pozycji lub podstępного dołka, w którym się tai nerwowa, a nienasycona gardziel karabinu maszynowego. Zła, ostra słomo, co sterzysz przed armatami, jak sztywna szczech drapiącą, nieogoloną brodą!

I ty! Jasny, krótki strumieniu bez źródła i bez ujścia! W twojej złotej fali stoi niebieski legion, zanurzony po piersi: święta, przeznaczona słomo długich rowów strzeleckich!

Pomiernie ułożona, złota wstęga obrony, w ciebie spływa krew rannych. Tobą obszywa Legion swą ziemię raz na zawsze! Ciebie tu, słomo, słyszy w huku wystrzałów, w dygotach uwiędłego listowia, ciebie tu słyszy w wołaniu o pomoc i w wielkim krzyku śmierci, dobrą kumę żołnierza!

Kwiaty, kąkole, chwasty, złotość, plewy, — szumie, szumie cudowny!

A oto już nie słomą jesteś, lecz mierzwą, nic ci nie dam prócz gniewu i pogardy!

Jesteś słomą, w której się gnieździł i barłóżył mój wróg! Wyrzuciłem go stąd nagłym ogniem... Uciekł nad ranem jak pies z nie swego legowiska, a ty leżysz skopana, zmięta, w różne strony roztrzęsiona. Runo twojej czystej fali oplwane jest tłuszczem jego strawy. Jego nienawistny wypoczynek odebrał ci wszelakie połyski. Wiatr i przeciągi gmerzą w twoich zwojach i nie tknie cię już nikt, bo cuchniesz swoją służbą nikczemną!

A oto jesteś dobrotliwa: złotemi kometami uścielim cię na wozie dla rannych.

Bądź dobrą, bądź soczystą! Uszczknęły cię spalone gorączką wargi żołnierza, ktoś sobie kosmyk złoty do oczu przykłada, a ktoś inny przebiera rozpaczliwie palcami, — bądź skarbem, niech w nim toną palce tego Łazarza i drżij, szumiej najtkliwszemi radościami życia.

Kwiaty, kąkole, radość, plewy i zdrowie i wszystkie ciężkie rany, — szumie, szumie cudowny!

Inna nastanie i ta jest słomą świętą: leży równo na wozie, żdźbło wedle żdźbła. Niech ten snop będzie makatą złotą, bo jedzie wóz, co nie powraca, z tym co już poległ, bo jadą wozy z tymi, którzy już nigdy nie powrócą. Chrześcij jak stal, nasza słomo rodzona. Niech ten szum idzie z nimi, szumiej jak wieść ogromna, proste zboże Ojczyzny.

Kwiaty, kąkole, chwasty, radość, plewy i życie, ciężkie rany i śmierć, — szumie, szumie cudowny!

Taką cię dziś pożegnam, by cię jutro zobaczyć, droga, straszna, kiedy cię ogień nasz niespodzianie zapali. Nagłemi płomieniami kipisz w rowach wroga jak krew, niby czerwony grzebień drżysz na horyzoncie, grzywą płomienia tańczysz. A z grzywy tej w przerażeniu, w rozpacz y wylatują po dwóch, po trzech nieprzyjacie le nasi.

Trzaskajże wtedy, buchaj, zapadaj, — wołaj, szumiej!

Kwiaty, kąkole, chwasty, radość i plewy, rany, życie, skonanie, — szumie, szumie cudowny...

PRZEJŚCIE I-SZEJ BRYGADY PRZEZ NIDĘ

Potężne uderzenie pod Tarnowem i Gorlicami zatrzęsło całą rosyjską linią. Niby pierścienie stalowego węża skręcać się jęły i kurczyć jej zwoje, leżące wzdłuż olbrzymiego frontu od Litwy, aż po Karpaty.

Echo gwałtownego złamania dobiegło Nidy koło 10-go maja, zaś 11-go tegoż miesiąca w nocy opuścili Rosjanie swe pozycje, wykonywając już w pierwszym dniu odwrotu przeszło 60 kilometrów marszu.

Trudno opisać radość, jaka ogarnęła całą Brygadę na wieść o rozkazach pościgu. Głośno się zrobiło wszędzie i wesoło jak we święta.

Stojąc długo na jednym miejscu, Brygada obrosła w siaki taki dobytek, w przeróżne »mienię«, na które podczas pokoju niktby nie spojrzał, które jednak

w czasie wojny ceni się bardzo wysoko. Zaczęto więc ścisnąć węzłki, upychać plecaki, ugniatać wozy; równocześnie wczesnym rankiem, drogą przez wieś do rzeki poleciał naprzód szwadron kawalerji. Jeny się w słońcu mignęły ostre kanty szwoleżerskich kasków, a z podków iskry, jeno po sobie chmurę złocistą zostawili, a wśród chałup pogłosy tętentu.

Tymczasem we wsi pośpiech się wzmaczał i radość coraz większa. Na progu izby, tam i sam, siedział młody strzelec i czyścił karabin, do nowej roboty, — na nowe kraje, światy, podboje...

Niewiadomo skąd wzięły się i znalazły na piersiach czerwono-białe kokardy, jakby je wyprzął ktoś niespodziewanie z tęczy wiosennego słońca i pierś żołnierzy niemi odznaczył.

Przemaszerowali saperzy, poważni, dumni, — mają budować most na Nidzie. Przed okopami ruch panował ogromny.

Między naszym dość płaskim brzegiem i dawnym rosyjskim leżała Nida, jak na aksamitach zieleni wstęga niebieska, bia-

łym sierpem fal przecinana. Opodal widniały grupki domów Pińczowa, w lewo zaś surowy skłon góry Skowronnej, przebytej żółtymi listwami okopów rosyjskich.

Od miasta, drogą aż ku rzece ciągnęli ustawicznie rozmaici ludziska, pieszo, na furach, z dziećmi, z tobołkami na plecach odcięci losem wojny od reszty swoich i dziś mający się z nimi połączyć.

Na naszym brzegu uwijali się żołnierze, kończąc przygotowania do wymarszu. Środkiem gościńca szło kilku w opasaniu wieńców sośniny. Jeden z nich niósł kwiaty na mogiłę towarzysza, który kilka dni temu padł na tamtym brzegu.

Inni przed rozstaniem ozdabiali kwiatami dawniejsze krzyże, któreśmy tu po sobie zostawili. Ciecze z nich jeszcze żączywny sok poranionego drzewa.

Jedyny widomy szacunek, jakim można było ten cmentarz otoczyć, to drut kolczasty. Któż może teraz myśleć o kwiatkach na mogile drutem okopów wiązanej i czy zgłębia kto granicę życia albo śmierci, jak się wazą w ręku młodego Strzelca,

gdy — zanim naprzód ruszy — kwiaty na groby sypie radośnie i krzyże tu utwierdza?

Na nowe kraje, światy, sprawy i podboje!

Minęliśmy sieć ostatnich naszych odrutowań i łąką poszarpaną przez granaty ruszyliśmy ku rzece. Po obu jej stronach czerniły się już tęgie pale i kozły przyszłego mostu. W jasnym słońcu pod wiosennym rozpędem niebiosów wyglądałi półnaczy saperzy, niby jakieś cuda-czne, różowo-niebieskie ważki ogromne, z których długimi blaskami ścieka srebro... One srebro to majowa woda Nidy!

Przez brody wciąż przechodziła ludność, ciężko objuczona. I jakże to powiedzieć, chyba tylko, że w całym obrazie wiosny i w żołnierskiej robocie przy moście, w czulej radości brnących przez wodę biedaków, którzy wszystkie swe nędzy noszą w małym węzełku, że w pogodzie i w czystości powietrza przeogromnej i w tych przedziwnych dalekościach wiosennych, natchnionych, czystych, lotnych, było coś biblijnego!

Tu właśnie, gdzieś przy moście, pierwsze swe kroki w rzece stawiającym dopadł nas śpiew potężny. Słońce zachodziło, pierwsze bataljony Brygady zbliżały się do brodów.

Żołnierze posuwali się na tle bezmiernej czerwieni, niby czarna emalja, wlewająca się w krąg mosiężnej tarczy. Szli w kurzu, w głosie pieśni, w promieniach słońca, w takim blasku! Echa śpiewu zawładły lasem, płynąc rozgłosnemi kręgami ku połyskliwej rzece.

Drugiego dnia podeszły do przeprawy wczesnym rankiem pozostałe oddziały Brygady. Most nie był jeszcze gotów. Nadciągające bataljony rozkładały się w słońcu na trawie.

Pogoda cudna, lekki wiatr brał wrzawę szeregów na gładkie loty i unosił.

Wydano rozkaz, by piechota szła zaraz po belkach niedokończonego mostu. Wielkie masy żołnierzy przenikać jęły przez srebrną lamę rzeki i niby pojedyncze, niebieskie paciorki skupiały się w prostokąt kolumny na drugim brzegu.

I przez łąkę, przez górę, naprzód, w świat! Pod konnymi błyskawice podków, nad piechotą srebrny rzut lufy, majonej czeremchą.

Szliśmy tak w kwiatach, wszyscy w kwiatach, w kurzawie, w zapachu wiosny, w śpiewie, niczem rozkwit jakowyś szalony.

Nawiedziła mnie myśl prosta, że wielu z nas nie wróci, śmierć z nami idzie przecie, w kwiatach łśni i na lufach błyska rozkołysana w młodem spojrzeniu. Któreż to oczy Nidy już nigdy więcej nie zobaczą, i kto z nas wróci do domu, a kto śmierć dźwiga, gdy wszyscy niosą młodość, broń i kwiaty...

Hen, przed nami, wspinając się na skłony Skowronnej, szedł Piłsudski.

Puste okopy Skowronnej otaczała złowroga woń. Ziemia tu wszędzie spryskana żelazem, odłamy jego co krok sterczą potargane, wystrzępione, skręcone ogniem, rzekłbyś strzępy skrzydeł piekielnego ptaka, który niechże już nigdy tu nie wraca!

W pustych okopach zostawiono mnóstwo naboí, ładownic, starej odzieży, szmat i łachmanów. Nędza wyziera zewsząd i srogie opuszczenie. Wiatr przeciąga cicho w pustych korytarzach, odarte drzwi kłapią przed ziemianką, zwitki gazy opatrunkowej, niczem białe, cieniutkie glizdy wiją się na tym opuszczonym śmietniku śmierci. W kącie kilka prawosławnych krzyży, z ramieniem przechylonem na jedną stronę.

Ale widok się stąd rozściela na ziemię w zielonych falach dojrzewania rozkołysaną, na wsie utopione w tęczowej pianie wszystkich kwiatów wiosny, na zadumaną straż przydrożnych wierzb, na drogi!

Te drogi, drogi, drogi wiodą nas tam, gdzie majaczej nowo, tajemne losy, gdzie rozwinąć się mamy w ognistą falę walki.

PO DRODZE

Idziemy, idziemy — idziemy przez wielkie piętna słońca na łąkach, przez niebieski błam cienia, którym podpasane są świerkowe lasy, między wsiami, z których wita nas wonność i lekkość i ściele się pod nogi biały puch krępych kwitnących drzew.

Idziemy, mijając jakieś folwarki uśpione w zapachu jaśminów i bzów. Po całej ziemi, jak okiem sięgnąć, leją się złoto-białe, złoto-zielone, złoto-cudne fale młodego zboża. Nad tą falą płynie fala naszego śpiewu, a w fali zboża i pieśni jednym jedynym nurtem spływa sama Ojczyzna!

Z dróg podnosi się kurz sypki. Jest tak gorąco i uroczyście, jakby to wszystkich walecznych ojców sława i przeszłość na ów proch złoty starta towarzyszyła synom...

Idziemy i idziemy, mijając zórawie studienne i płoty plecione odwiecznym chwytem gospodarskim i wrota szeroko rozwarte. Na karabinach czeremcha, na czapkach jaśmin, w koszu srebrnej gardy pałaców różowy bez.

Znużenie uśmiecha się ku nam z fioletowych rowów przydrożnych ogromne, a skwar aż mąci oczy. Nieznana przyszość skrzy się i błyska na jasnych odalach horyzontu...

Mleko zimne w chropawych kubkach glinianych, woda w brunatnem drzewie konwi, młyn taśmę strumienia marszczący, — rozwarte objęcia sztywnych ramion wiatraka. Na niebie nieustające szczęście pogody, na ziemi niestrudzony krok marszu i szczęście, — odpoczynek!

Wspaniały jakiś dwór — grube fasady czarniawą szczerbą ryte, obrzucone tłustym barokiem — związuje wielka, wyniosła brama. Nad nią herby dawnych panów, bezpieczeństwa dziś. Nikt nie wie, kto zacz byli i w księgach o nich niema para-

fialnych, bo spłonęły i ludzie już nie wiedzą, drzewa zaś ręką magnatów sadzone cóż pamiętają?

Po bokach każdej fasady, niby pięść władna i zaborcza — tęga kopuła, jakby w irchowej rękawicy, kryta blachą, po której miękkim śladem szarości snuje się śniedź.

Arjanie tu się pono kiedyś zgromadzali. Podobno Arjan jeszcze pamięta ten łuk arkad renesansowych, patrzący z drugiej strony pałacu na gazon i dwa w starym bronzie szuwarów zamknięte stawy.

Bielone, zimne korytarze. Po starych, wydeptanych kamieniach dźwięczą dziś znów ostrogi.

Izby przepyszne, pańskie, — prawie puste. W rogu, niby olbrzymia wieża szachowa, piec z gdańskich kafli, a w bawialni zostało jeszcze stare fortepiano.

Na sali recepcyjnej w wielkim karle zasiadł Brygadjer Piłsudski, rzekłbyś dawny, surowy generał mohortowskich

czasów. Przed nim, za balaskami pałacu, w złocie powietrza i w czarach wiosennej zieleni mija szara kolumna i śpiew:

Jeszcze Polska nie zginęła!

W pałacu pełno oficerów, na kamieniach przedsiönka chrzęst żwiru i trzask szabel.

W starej alei lipowej szum, taki szum ogromny, jakby wielkich nawrotów czasu!

Czyli widzisz i czujesz na tem miejscu, w powietrzu, w wodzie, w słońcu i powszędy, że ci co sto lat temu odeszli i meldunek tu przyjęli ostatni — generały w łosiowych rajtuzach, oficerzy w ciężkich epoletach — jakby tu gdzieś zostawili niemylny ślad, za którym idzie teraz Brygadjer Piłsudski?...

U wrót pałacu mijają wciąż oddziały, u żelaznych krat bramy stoi siwa pani czarno ubrana. Rezydentka, czy właścicielka i nie wiadomo już, czy właścicielka tu, czy tylko sługa? Przez łzy zaprasza

na poczęstunek, pół płacze, pół się śmieje, błogosławi, ubolewa, zachęca...

Miejscowość ta nazywa się Śladków Duży.

Na drugi dzień maszerujemy dalej, w nieustającej radości! Nie uciekaj, nieprzyjacielu, worki ci popękają po drodze, owies zgubisz, złotemi paciorkami owsa ślad swój znaczysz. Idziemy w kwiatach, skrzydłach, głosach, pieśniach. Nie uciekaj, nieprzyjacielu, — na karabinach czerecha, bez i jaśmin, na karabinach wiosna!

Pod wieczór przez tę wszystką nieopowiedzianą, niewyspiewaną krasę przyszliśmy przed dworek malusi, do agrestu i porzeczek przycupnięty. Brzegiem wyskubanego klombu zajechaliśmy przed cichą werandę.

We dworze małość i serdeczna pokora.

Przyjęły nas dwie panie starsze, skrzętne, wystraszone, a ceremonjalne. Jedna z nich — czyż ta sama, co wczoraj u żelaznych balasków pałacu, — błogosławiła kolumnę piechoty. Czy ta sama, co na

ulicach odzyskanego Pińczowa nagle skrzyżowała ręce?...

Czy ta sama, co nas czeka pod Wilnem?!

Drży to wszystko tu we mnie nagle wspomnieniem i miłością: że my tu, dzieci wasze, idziemy zbrojnie, a wy krążycie wedle nas, wy, matki nasze biedne. I tak się to układa w sercu mojem przez drogę i przez wiosnę, że ty tu jesteś ta sama wszędzie moja, nasza, jedyna w czarnych sukniach Ojczyzna, o imię nasze z trwogą przed bojem pytająca.

To Ona tu we wrotach stoi, w tym dworze, jak z powieści Orzeszkowej, skromnym, małym, który sobie poprzysiągł wytrwanie.

Doczekał się nas i podjął nas najlepszym, kochanym stylem, a my całe morze słomy nawaliliśmy do saloniku, hafty i wszystkie robótkowe staranności nabok zgarnęli. Przed oknami huczał już grzmot przejazdu armat, słońce już zachodziło pod niebem, a wśród drzew rozłożystych szumiał wciąż krzyk piechoty: — *Niech żyje Piłsudski!*

Miejscowość ta nazywa się Sieczków.

A o tym dworze pańskim, wymuskany, cacany, jak się nazywał pamiętać nie warto, gdzie zajechaliśmy pełni wielkiej radości — szarże pobiegły golić się i myć pod studnię, by się damom godnie przedstawić, a damy pochowały się jak w kiepskim pasjansie i nie wyszły...

Panowie, niby stare, nadęte fagasy za krzesłem oficerskiem stali, nie chcąc kompromitować swego imienia przy stole polskich wojskowych. O tym dworze wspominać nie warto, gdzie siana, jadła było w bród, a tylko serca nic.

Stąd poniosła nas już naprzód bitwa.

Wiem, że pod tarczą księżycy w huku armat i śpiewie słowików wybiegł z parku na drogę, by tu czekać na jakichś łączników.

Wiem, że gdzieś na podwórzu spostrzegł nagle, iż na starych malowanych saniach, pogrążonych w szemrzącej fali słomy, bawią się wiejskie dzieci.

Wiem, że tu później minął dwór pełen życia i wszystkiego dostatku, a ruina

i pożar sądzone były wszystkim jego ścianom. Za chwilę baterja biła już pod oknem, a pani czarno ubrana wybierała łyżką masło na zimny liść zielony, właśnie na kilka minut przed salwą granatów.

Pamiętam, że już w nocy wróciłem na podwórze, gdzie jeszcze rano kwitły kwiaty, a teraz leżał na gazonie przewrócony fortepian. Czarna lira pedałów instrumentu mieściła w swym zarysie dalekie gwiazdy nieba.

Od werandy po klombie, z szelestem wilgnej trawy szła siwa pani w powłóczyściej odzieży: przysiągłbym, że ta sama, co tu wszędzie, która, gdyśmy do Pińczowa weszli, zapłakała, która czeka pod Wilnem, zbiera składkę w Krakowie, przed każdym bojem z trwogą nazwiska nasze liczy...

Od jasnych okien dworu szła niewstrzymanie naprzód, rzucając cień przez trawę aż po wysokie gwiazdy, gałęzią drzew objęte.

BITWA POD KONARAMI

Po kilku dniach forsownego marszu od przejścia Nidy zatrzymała I Brygadę pod Konarami*) rozwijająca się bitwa. Kolumny nasze stanęły za wzgórzem.

Gęsto już świszczwały nad lasem Płackowic szrapnele, wyraźnie słysząc było strzelaninę karabinową na skrzydłach, gdy podchodziły ku polu bitwy ostatnie nasze oddziały.

Ustawał śpiew, który płynął przez tyle wsi, łąków i pól, rwało się echo

*) Wiadomo, że bitwa pod Konarami należała do jednej z najtragiczniejszych bitew, stoczonych przez I-szą Brygadę Piłsudskiego. Tragizm tej krwawej niezmiernie walki polegał na tem, iż dowództwo austriackie, niepewne swych oddziałów, wyrzywało Piłsudskiemu niejako z pod ręki zwarte jednostki polskie, narażając je wśród panicznego nastroju własnych wojsk na ogromne straty. Momentów tych opis niniejszy, skrepowany wojenną cenzurą, rzecz prosta, nie uwzględnia. Autor podaje tu bitwę pod Konarami bez zmian w stosunku do I wyd. (Kraków, 1915, nakład N. K. N.) – jako pierwszy drukiem ogłoszony opis tej bitwy.

trąbki, aż zamilkła zupełnie. Powoli spadały kłęby kurzu, osnuwające piechotę.

Ze wzgórza, pod którym zatrzymały się kolumny, widać było cały teren przyszej bitwy. Wiosenne słońce paliło zgóry kładąc siwo-niebieskie cienie między płową falą zbóż, toczących się po skłonach.

Nawprost Konar, obrzeżony szlakiem piasku, widniał folwark Przepiórów, schowany w gęstym kłębie zieleni starych drzew. Nikt jeszcze wówczas nie przypuszczał, że pod murami tego spokojnego folwarku przejdzie 2-gi Pułk I-szej Brygady próbę bohaterstwa i tak trudnej wytrzymałości.

Na prawo od Przepiórowa zielenił się las Płaczkowicki, który w tej chwili napełniały łomotem szrapnele, a w którym walczyły naprzemian pułki armji, nasz V-ty bataljon, Rosjanie, Honwedzi, a nawet baterje I-szej Brygady, powstrzymując nawał rosyjskiej piechoty.

Za wąwozami biegły lesiste wzgórza i odkryta łysina pagórka, — numer 282 wedle mapy. Nikt jeszcze nie przypusz-

czał, że wzgórze owo, leżące przed Kozinkiem, wyrywać sobie będą walczące strony. Że tam III-ci bataljon 1-go pułku jeszcze raz stanie w najcięższej chwili, niczem stara gwardja.

Z za wzgórz, chałup i wsi, z poza rozpędzonej fali sandomierskich pól widniały u krańca horyzontu mury Włostowa.

Teren, który rozciągał się przed nami, pełen wzniesień i zagłębień, wąwozów i niedostrzeżonych przejść, obiecywał walkę trudną i zawiłą.

Brygadjer Piłsudski i szef sztabu Sosnkowski stali na wzgórzach konarskich, gdy opodal w pędzie zajechała artylerja austriacka, by wspomagać drugą, usadowioną niżej, przed Wolą Konarską. Coraz z sypkiego gruntu wyrywały się w górę ciemne kłęby zrytej ziemi, coraz na czystem niebie ukazywały się białe puchy szrapneli.

Spokojną okolicę napełniać jąła walka. Powoli sączyć się jeły przez pola cienkie linje telefoniczne, ludność miejscowa zni-

kła, jakby pod ziemię się zapadła, cisza oprzędła chaty, a ogień huczał na polach.

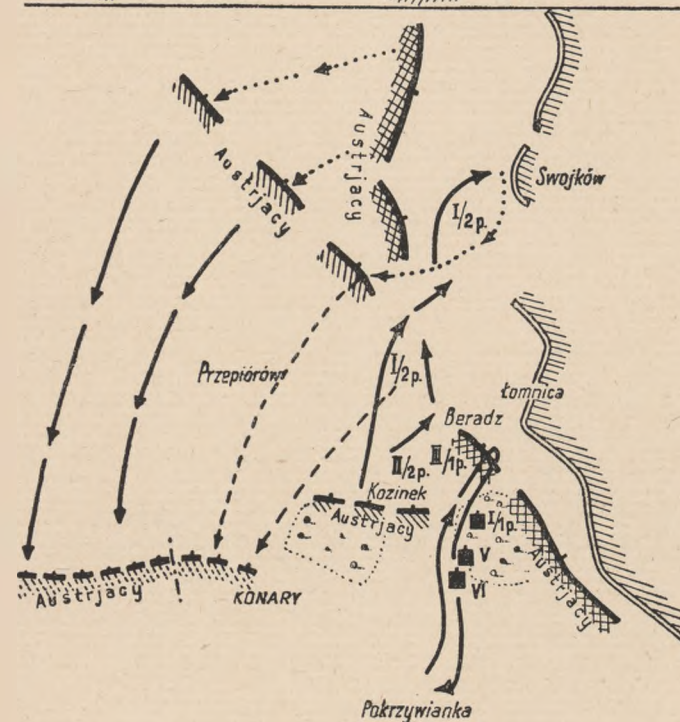
Wedle otrzymanej dyspozycji, 1-szy pułk pod pułkownikiem Śmigłym miał atakować na północny wschód od Konar położoną wieś Grabinę, pułk 2-gi pod komendą majora Berbeckiego miał szturmować przez Swojków na Włostów.

Artylerja nasza, prowadzona przez kapitana Śniadowskiego, V-tą baterją zajmuje pozycję na skraju lasu, skąd miał też iść atak na Beradź i Grabinę. IV baterja zajmuje pozycje w Konarach.

Piechota 2-go pułku wciskać się począła między pola i wąwozy. Rozfalowany teren uprzystępniał posuwanie się naprzód szybkimi, zdecydowanemi ruchami ku tej stronie, z której trzeszczał ogień nieprzyjacielski.

Na skraju lasu Płaczkowic, na prawo od drogi rozwinął się bataljon II-gi 2-go pułku, pod kapitanem Ludwikiem (Tadeuszem Piskorem), na lewo I-szy tegoż pułku pod kapitanem Sławem (Mieczysławem).

KONARY. WALKI I BRYGADY LEGJONÓW POLSKICH W DNIACH 16 i 17. V. 1915 roku
I/2p. oznacza pierwszy bataljon drugiego pułku, V - piąty bataljon
- pozycje i atak w dn. 16.V - walka w odwrocie i pozycje 17.V wieczorem
- walka w odwrocie i pozycje 17.V w południe - pozycje Moskali



sławem Zwierzyńskim). Oba te bataljony miały zająć front między pułkami armji, z których jeden stał na prawem skrzydle, w okolicy Beradzia i Kozinka, drugi zaś wysunięty był naprzód, poza terenem zajmowanym przez nasz 2-gi pułk na skrzydle lewem.

Nasza piechota miała więc za zadanie skrzydłami rozwijającego się w coraz większym ogniu frontu wyczuć krańce tamtych pułków, związać się z nimi i uderzyć naprzód, prowadząc frontalny atak na umocnione pozycje nieprzyjaciela.

Bataljon I-szy 2-go pułku, doszedłszy do wylotu drogi do Płackowic, napadnięty silnym ogniem artylerji, rozwinął się szeroko, dwie kompanje rozciągając w pierwszej linji, dwie luźno rozwinięte trzymając w rezerwie. Tutaj już poniósł ów bataljon silne straty i zatrzymał się na linji skrzyżowania dróg, obok dwóch wiatraków przy Beradziu.

Tymczasem II-gi bataljon 2-go pułku, otrzymawszy dyspozycje demonstrowania ataku na wieś Małżyn, doskonale pro-

wadzonemi tyraljerami posuwał się w tę stronę.

Podczas gdy II-gi bataljon, ponosząc znaczne straty od artylerji zajął swe pozycje, I-szy bataljon skoncentrował się, jakgdyby na przechodnim punkcie ataku, we wsi Garbowice.

Sytuacja na skrzydłach i logika coraz bardziej rozwijającego się natarcia sprawiała, jakgdyby sama przez się, podział pracy w postępowaniu obu bataljonów.

Bataljon I-szy kierował rozwinięte swe łańcuchy na Swojków, a równocześnie rozmachem swym porywał naprzód skrzydło — stojącego w lewo od bataljonu — pułku armji. Bataljon II-gi przypadł ku ziemi i gdy tamten był mieczem uderzenia, ten został jego tarczą, trzymając się dzielnie pod silnym ogniem artylerji.

Cała przestrzeń od Przepiórowa, Małżyna, aż za Swojków i Włostów, objęta była ogniem.

Linje tyraljerów I-go bataljonu 2-go pułku szły ustawicznie naprzód, a działa

się to tak szybko i zręcznie, że nieprzyjacieli nie mógł uchwycić celu.

Pierwsza kompanja I-go bataljonu, wyszedłszy na oznaczoną pozycję, dostała się pod ogień szrapneli, karabinów maszynowych od strony wsi Słoptowa. Wówczas atak całej naszej linji rozpędził się z odległości 600 kroków. Skoczyły naprzód łańcuchy strzelców, słońce mając poza sobą. W rozpędzie tym, pełnym brawury, zdobył porucznik Tunguz ze swym plutonem oddział karabinów maszynowych (2 karabiny maszynowe, 38 ludzi obsługi).

Równocześnie trzecia kompanja I-go bataljonu poparła atak na całe wzgórze, osiągając skrzyżowanie dróg w Kaczycach.

W tym samym kierunku zdążała również kompanja czwarta.

Koło godziny szóstej popołudniu atak był w najlepszym rozwoju. Należało jeno czuwać, by rozpędzona w szturmie linja nie pocięła się i nie straciła swej spójności. Major Berbecki zarządził temu, łącząc prawe skrzydło I-go bataljonu z lewem II-go bataljonu kompanją por. Rybarskiego.

Cały ten atak popierała znakomicie od strony Przepiórowa V-ta bateria naszej artylerji, pod komendą por. Boruckiego. Robotę jej gwałtowną i stanowczą rozróżnić można z łatwością po rzutkości i zajadłej energji, z jaką ogień był prowadzony. W pewnym momencie walki, artylerja nasza znakomicie poparła bataljon I-szy, waląc celnymi strzałami w gęste masy piechoty rosyjskiej, które wyroiły się kolumnami z zapalonego Małżyna. Kolumny te wziął ogień naszej artylerji w obroty, krusząc je, kupy bezładne z nich czyniąc i pędząc wtył.

Zmierzchało już, gdy rozpoczęto atak na Włostów.

W świetle zachodu słońca, łany zboża czerwieniły się jakgdyby każdy kłos był umaczany we krwi. Pogodną przestrzeń nieba wypełniał ryk armat, wspomagających piechotę, zwłaszcza, że równocześnie dziesięć baterij przygotowało 1-szemu pułkowi swym ogniem atak na wieś Grabinę. Dokoła wznosiły się olbrzymie czarne słupy dymu

z płonących wsi i splątane gęstwy jasnych płomieni.

Uderzenie na Swojków miała prowadzić czwarta kompanja I-go bataljonu 2-go pułku, z plutonem drugim kompanji drugiej. Inne plutony tej kompanji z karabinami maszynowymi stanowiły prawe skrzydło, trzecia kompanja lewe. Porucznik Aleksandrowicz-Kostek, komendant 3-ciej kompanji, napotkawszy na trakcie głęboki rów pomiędzy folwarkiem i wsią, zmienił front, otoczył wieś, zmusił Rosjan do odwrotu, zabierając 54 jeńców do niewoli.

Tu, w pościgu za Rosjanami, wystąpił po raz pierwszy oddział karabinów maszynowych pod komendą porucznika Rokity, zasypując Moskali celnymi »wstęgami« swej broni.

Podczas, gdy 2-gi pułk Brygady, sprzęgnawszy sobą sąsiadujące pułki armji, otworzył im drogę do szosy (patrole I-go bataljonu 2-go pułku doszły aż do Włostowa), podczas gdy później w nocy, wśród strzelaniny gęstej, ustalał linję i umacniał

łączność poszczególnych jednostek bojowych, pułk 1-szy, pod komendą podpułkownika Śmigłego, szedł na północny zachód od Przepiórowa na Grabinę.

W tej części frontu znajdował się Brygadjer Piłsudski i szef sztabu Sosnkowski. Punkt, który zajęła naczelna komenda Brygady był punktem, o który w dalszym przebiegu tej bitwy najkrwawsze toczyły się walki. Wzgórze i sąsiadujący z niem lasem kozinkowski stanowiły oś całej pozycji.

Po obu stronach tego miejsca w ciągu następnych dni przeginały się krwawiące skrzydła bitwy, samo zaś miejsce owo, t. j. kota 282, stało się wielkim grobem, nad którym przez wiele godzin pryskał grad żelaza.

W momencie, w którym Komendant Główny znalazł się na tym odcinku, silny ogień karabinowy przeszywał cały las.

Widać stąd było cały front zapalony walką, jak grażył się w krwawym, rudym odmiecie. Noc szła.

Powoli zlewały się w jedną masę łany zbóż, wzgórza i oddale. Pożary, niczem ogromne źródła jasnej, błyszczącej krwi, biły jeszcze w niebo.

Pierwszy pułk wąwozami postępował już pod Grabinę. Niebawem przyczała się nasza piechota na 200 kroków przed okopami nieprzyjaciela, zdecydowana do skoku, któryby strzaskał opór piechoty rosyjskiej i zajął jej linię. O godzinie 21.30 (wieczorem) przyszedł rozkaz wstrzymania ataku.

Tymczasem 2-gi pułk w rozpędzie swym doszedł patrolami I-go bataljonu aż do Włostowa, to znaczy osiągnął szosę Opatów-Sandomierz, której w bitwie tego dnia bronili Rosjanie.

W nocy z 16-go na 17-go komenda pułku 2-go musiała była ustalić linię. Kto był w natarciu, rozpoczęciem za dnia, a prowadzonym dalej w nocy, ten wie jak trudną jest rzeczą ustalenie łączności, zwłaszcza wśród coraz to silniejszego naporu nieprzyjaciela, któremu nadchodzą posiłki.

Z powodu zdecydowanej postawy naszego ataku — Rosjanie wydzielali posiłki z wojsk, ogromną falą idących na inny front, przez co, rzecz prosta, osłabiali koncentrację, pożądaną na innym odcinku.

Major Berbecki, z pomocą adjutanta 2-go pułku por. Toporczyka-Błęszyńskiego wykonał doskonale swe zadanie, ściągając i wyrównując front na linii od Kaczyc aż do wiatraka przed Garbowicami.

Linję tę trzymano aż do godz. 14-ej dnia następnego, w którym to czasie ze względu na sytuację ogólną, trzeba się było cofnąć.

Odwrotu tego dokonano z niezwykłą zręcznością, w gwałtownym ogniu artylerji. Już palił się wiatrak, płonęły też Garbowice. Ściśle rzecz biorąc, w trzasku karabinów, wybuchających ekrazytówek i ustawicznym ogniu armatnim, wszelka komenda faktyczna musiałaby stracić swą siłę, działał tu jednak ogólny plan, kierunek i te właściwości bojowe, które stanowią o charakterze doskonałego żołnierza.

Kompanje wycofywały się w szyku całkiem luźnym, w którym ustaje wszelka formalistyka, a wchodzi w grę poczucie się żołnierza w danym oddziale. Ogień był tak gęsty, że rozrzucone kompanje, plutony, sekcje i poszczególni ludzie szli jakby nieregularną siecią niebieskich cieni przez zboża wyłoczone słońcem, a nad którymi kotłowała się chmura ognia.

Ogień ten byłby pogruchotał naszą piechotę, gdyby nie nasza artylerja. Z niezmiernem ryzykiem, wypatrzywszy baterje polowe rosyjskie na otwartej pozycji, dopadła je ogniem wtedy właśnie, gdy rezerwy 2-go pułku dochodziły do Przepiórowa.

Tegoż dnia nowe sytuacje na innych odcinkach frontu przyczyniły się do dalszego rozdzielania sił I-ej Brygady. Z ręki Piłsudskiego szły one na linję, obejmując te punkty, na których spodziewano się najtwardszego oporu.

Bataljon V-ty przyszedł do wsi Pokrzywianka, skąd miał forsować wzgórza są-

siednie. Bataljon VI-ty odkomenderowano do sąsiedniej dywizji.

Bataljon V-ty, pod komendą kapitana Herwina, został narazie odwołany, w nocy zaś z dnia 18 na 19 maja trwał w ustawicznym pogotowiu.

Następnego dnia t. j. 19 maja ruszył ów bataljon do boju, właśnie na ową zagrożoną pozycję, będącą kluczem całego frontu, z której 16-go wychodziło uderzenie 1-go pułku na Grabinę.

Razem z V-tym bataljonem atakować miał bataljon pułku c. k. armji. Oddziały te, wspomagane ogniem ośmiu baterij, wyrzucić miały Rosjan ze wzgórza i zająć przestrzeń Płackowice-Kozinek.

Uderzenie to wymagało silnego ubezpieczenia z prawej strony ze względu na wzgórze, z którego nie można było dopuścić żadnego flankowania.

Ówczesny komendant V-ego bataljonu, kapitan Herwin, w następujący sposób uszykował oddział swój do walki: czwarta kompanja uderza na wieś Kozinek, pierwsza i trzecia prą z centrum, kompanja druga

wykonuje ruch oskrzydlający z prawego naszego skrzydła na lewe nieprzyjaciela.

Atak rozpoczął się już w dużym ogniu rosyjskiej piechoty. Linje nasze poszły falami wzniesień, w skwarze i znoju, znacząc drogę rannymi aż do Kozinka.

Wobec tego, że bataljon otrzymywał już ogień z flanki w prawy bok, część trzymała się w Kozinku wsi, nie mogąc ostatecznie utrzymać wysuniętej naprzód pozycji.

Koło południa części V-go bataljonu zaczęły się ostrożnie wycofywać w kierunku wzgórza, gdzie jeszcze stawiły opór przeważającym siłom nieprzyjacielskim.

W boju tym po południu padł śmiertelnie ranny komendant bataljonu, kapitan Herwin.

Koło wieczora sytuacja na wzgórzach przed Kozinkiem wydawała się beznadziejną: V-ty bataljon, otrzymawszy odnośne rozkazy, cofał się już za linję rzeczki Pokrzywianki.

Wówczas po raz drugi odznaczyła się artylerja nasza pod komendą kapitana

Śniadowskiego, z otwartych pozycji, 1200 kroków od nieprzyjaciela, bijąca na linję Płaczkowice-Kozinek najpierw szrapnelami, a gdy tych zabrakło — granatami, aż do ostatniego naboju.

Bataljon V-ty, ciężko w tych bojach skrwawiony, cofając się, zdołał jeszcze zabrać kilkudziesięciu Rosjan do niewoli.

Tego samego dnia przystąpił do akcji bataljon III-ci (późniejszy drugi 1-go pułku pod podpułkownikiem Śmigłym), obsadziwszy pozycje na lewo od wzgórz kozinkowskich w Woli Konarskiej. Temu właśnie bataljonowi przypadła w dniach następnych ciężka misja utrzymania najważniejszej pozycji.

Bataljon III-ci 20-go maja zajął pozycje na północny zachód od wzgórza, należącego do najbardziej zagrożonych, trzema kompanjami. Kompanję, znajdującą się na lewym skrzydle przed wsią Kozinkiem, ściągnięto i obsadzono jej pozycję V-tym bataljonem.

Dnia 21-go maja rozpoczyna wczesnym rankiem walkę druga kompanja V-go ba-

taljonu, która na podstawie mylnego meldunku uderza jeszcze raz na okopy przed Kozinkiem i samą wieś. Kompanja ta, tracąc swego dowódcę, por. Sarmata, zostaje odparta, a równocześnie ogień obejmuje walczące linje na całej ich długości.

Niepodobna oddać wrażenia, jakie sprawia to nieustanne pytlowanie ognia karabinowego, jakby prucie się powietrza w salwach, to znów niby potworna czkawka — strzelanie paczkami. I znów normuje to wszystko równy trzask karabinów maszynowych.

Koło godz. 15-ej przyszedł do podpułkownika Śmigłego meldunek o grupowaniu się nieprzyjaciela w kotlinie folwarku Beradź.

Skierowano tam ogień naszej artylerji.

W godzinę później ryczeć poczęła artylerja rosyjska, godząc w zachodni cypel pozycji naszej ciężkimi działami. Ogień ten około godziny 17.30 popołudniu ucichł, jak przycicha zwykle przed atakiem.

Rozpoczął się też wkrótce ów atak z ogromną furją prowadzony przez Rosjan,

a złamany został przez III-ci bataljon na najbliższych dystansach karabinowego ognia. III-ci bataljon trzymał się świetnie na swej pozycji, poza obrębem jednak bataljonu, oraz szeregów bataljonu V-go, lewe skrzydło zostało złamane.

Po zajęciu przez Rosjan Płackowic, wycofuje się V-ty bataljon, przedłużający lewe skrzydło bataljonu III-ciego, który zostaje osamotniony.

Bataljon III-ci stoi w obliczu śmierci. Z obu stron gniotą go szare linie kolumn rosyjskich, las trzeszczy, jęczy od wystrzałów. Lewe skrzydło ochrania sobie III-ci bataljon jednym plutonem, gdy oto pokazuje się, że prawe zawisło w powietrzu. Wtedy dopiero rozkazał podpułkownik Śmigły stopniowy odwrót, wyciągając kompanie z linji. Dwie z nich, lewo-skrzydłowe, walczyły podczas odwrotu z nieprzyjacielem z odległości 30 kroków.

Następująca po tych walkach noc nie daje odpoczynku, a 22-go maja w południe zaczyna bataljon III-ci, wraz z puł-

kiem świeżo przybyłych honwedów, atakować. Kierunek główny przeciwnatarcia wypadł na las, którego część boczną zajmowali honwedzi.

Podpułkownik Śmigły wysłał zrazu jeden pluton w celu zebrania jeńca. Zaraz potem poszła czwarta kompanja, która rozpoczęła atak ku drodze w głębi parowu. Wysłany pluton wziął 84 jeńców, kompanja czwarta 120.

Cała walka odbywa się oko w oko i pierś w pierś, jakby żywcem wyjęta z jakiegoś boju czasów napoleońskich. Grupy sinych mundurów wdzierały się na górę, wnikały w las, otaczając szarych, ziemistych żołnierzy. Strzelanina szła nierówno, wybuchami, w miarę gwałtowniejszego zwierania się uderzenia i obrony.

Szturm czwartej kompanji wyteżył się przeciw nieprzyjacielowi okopanemu na drodze do Beradzia. 4-ta kompanja doszła na odległość 20 kroków przed okopy i tu, mając przed sobą warczące karabiny maszynowe, z boku zaś obejście kolumny rosyjskiej, zmuszona była cofnąć się.

Kompanja 3-cia doszła jeszcze dalej, bo na 15 kroków przed okopy, rozmach jej jednak musiał się zwinąć wskutek przewagi ognia. Kompanja 2-ga rezerwowa doszła w tym czasie do plutonu oskrzydłającego i utworzyła drugą linię stale wzmacniającą tę pierwszą.

Uderzenie na las kozinkowski nie dopięło celu, bo na prawo od III-go bataljonu nie udało się honwedom, walczącym z niezmierną brawurą, uczynić oskrzydlenia od północy. W walce tej III-ci bataljon, zda się pewną śmierć szturmujący, nie rozkruszył się, opanował najzupełniej teren, nie cofnął się przed siedmiu karabinami maszynowymi, obsiewającymi front i sprawił, że wyczerpany nieprzyjaciel następnej nocy ustąpił.

23-go maja, po cofnięciu się Rosjan, zajęto północną część pozycji kozinkowskiej. Tu już III-ci bataljon pozostał, strzegąc baczenie miejsca, które tyle kosztowało trudów i krwi.

Las kozinkowski doczekał się w tej wiosnie nowego zasiewu. Zasiew ów nagle

padł na ziemię i rychło wzeszedł i bieli się we dnie i błyszczący po nocach ramionami białych krzyżów brzoźowych...

23-go maja bataljony nasze, prócz VI-go pod kapitanem Fleszarem, sprzęgły się znów w jedną linię, zajmując samodzielny odcinek frontu, mniej więcej od Kozinka do wsi Kujawy. Jądro walki przeniosło się zpowrotem na Przepiórów i Kamieniec. Koło południa przyszedł rozkaz ataku, w którym 2-gi pułk i I-szy bataljon 1-go pułku brały udział aż do 3-ciej godziny dnia następnego.

Na lewym naszym skrzydle uderzyć miał pułk armji w stronę wsi Brzeziny, na prawem honwedzi szturmować mieli Garbowice i linje rosyjskie w prawo od Przepiórowa.

Na odprawie 2-go pułku, pod kierunkiem majora Berbeckiego zapadło co do szczegółowego ataku: Bataljon II-gi pułku kierować się będzie aby zdobyć Przepiórów, a bataljon I-szy Kamieniec. Oddział karabinów maszynowych poprze operacje I-go bataljonu 2-go pułku.

Posuwając się mozolnie naprzód pod ogniem siedmiu karabinów maszynowych, kompanje I-go bataljonu okopały się o sto kroków od Przepiórowa. Kompanja 2-ga i 3-cia skierowały się na okopy między Przepiórowem a Kamieńcem, bataljon I-szy szturmował Kamieniec i okopy między Kamieńcem a Brzezina.

W gęstym ogniu nieprzyjacielskim, ponosząc wielkie straty, pułk 2-gi stale parł naprzód, w oczekiwaniu, że skrzydła rozprostują się do linii centrum i razem całym frontem uderzą.

Koło godziny 12-ej w nocy prawe skrzydło nacierającej linii zwijać poczęto — honwedzi cofali się na Garbowice. Lewe skrzydło (zajęte przez pułki c. k. armji), nie mogąc skruszyć napotkanego tu oporu, nie poszło również naprzód.

Przed murami Przepiórowa, z którego warczały ustawicznie karabiny maszynowe, pozostało serce ataku, nasz 2-gi pułk

Nie poinformowana o poruszeniach honwedów kompanja por. Kruka-Czarnego, została otoczona przez Rosjan, tak,

że dwie kompanje nasze, zamiast szturmować z lewego skrzydła, musiały ruszyć na pomoc otoczonej.

W ręcznym boju, jaki się tu wywiązał, okazali młodzi żołnierze I-szej Brygady przykładne męstwo.

O godz. 2-ej w nocy przyszedł rozkaz zawieszenia walki. Pułk 2-gi w zupełnym porządku cofnął się na dawne pozycje pod Konary.

W bitwie tej wzięto do niewoli kilkuset jeńców rosyjskich, 2 karabiny maszynowe, utrzymano powierzone sobie pozycje, wykonano kilka ataków, na podziw zasługujących.

Zasługi! Zwycięstwa, powodzenia, straty!

W ogniu, w odmęcie pożarów, huku palby piechotnej, w trzasku strzelanych gałęzi, w szeleście zbóż, w grudzie rozpryskującej się ziemi zginęło wielu mężów, wiele cnót zgasło.

Nie jeden snop rozleciał się, spłonął nie jeden dom, nie jedno serce pękło, a oczy patrzeć przestały... Ludzie mijają, szereg zostaje i prawda jego rośnie.

Konary sławne będą w dziejach I-ej Brygady: tu, w wiosennem ciele ziemi kochanej oddanem, głęboko utkwiły korzenie. Na Konarach sława kwitnie we krwi, póki czas nie nastanie, że z tej ziemi, z lasów, drzew, krzewów i łąnów, pól i łąk wytrysnie nowe życie i nowy błogi spokój.

NABOŻEŃSTWO PO BITWIE

Trudno było zaraz po bitwie urządzać mszę polową, bo na to musimy z taborów wyciągnąć ornaty księdza Kosmy i przybory i na to trzeba polowy ołtarz wystawić. Kto chciał, ten się wyprosił w niedzielę i szedł w słońcu w spiekocie przez te pola, na których kilka dni temu śmierć gonila, — do wiejskiego kościoła.

Trzeba widzieć, jak nasz żołnierz idzie miedzą. Żołnierz nieduży, zboże mu sięga po pas. Tak sobie wolno sunie w maciejówce, czy też w ułańskim kasku przez lotną ciszę pól.

Tyle zadumy, spokoju zda się otaczać jego postać, tyle trudu, tyle historii dąży wraz z nim przez pola rozjaśnione, iż myślisz: on idzie i jeszcze jakiś inny... Idą dwaj — on, żywy i pradziad jego, gdzieś tu kiedyś poległy. On żywy i fiole-

towym cieniem przez zboża sunący, pradziad jego zaziemski...

Opowiadali nam, że jest tu jedna wieś, która się w 1863 roku powstaniu oparła, zdradziła, a potem mór ją wytłukł...

Przed kościołem już pusto, ludzie weszli, słysząc poważne tchnienie organów, ciężką falą płynie z tonu na ton.

Nawy właśnie w reparacji, rusztowania biegną pod powałą, pachnie wapnem, cegłą i kadzidłem. W nawach pełno narodu wsiowego. Przesiewa go dziś, jak pszenicę bławatek i mak, — siwy mundur i rabat czerwony.

Z pod stropu rusztowania gruchnęła pieśń świętobliwa i straszliwa!

„Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...”

Na deskach rusztowania, wysoko, stał chór legionistów; bił z tego pierścienia rycerskiego głos potężny, niby z sinej cembrowiny wielkie źródło jasności.

Tak oni tam śpiewali, strudzeni i natchnieni, tacy nowi pod stropem koś-

cioła, strojni, zbrojni, na swej broni wsparci, niby jacyś przedziwni, a zarazem ogromnie swojscy, aniołowie wojskowi.

PODWIECZOREK PO BITWIE POD KONARAMI

Po bitwie wkopaliśmy się w ziemię.

Wyszukało się linję z obstrzałem i zaraz wojennym przyborem zaprawiło okolicę przed nami: tu założymy miny, tam kozły hiszpańskie, a tam w okopie schowa się pysk karabina maszynowego.

Żeśmy się już pobili do syta i dość krwią opłynęli, żeśmy już śmierci sporo oddali... Że nas radość owiała, bo umrzeć za ojczyznę jest słodko, ale ze śmiercią u boku żyć — jest jednak słodziej... Że się nam wszystkim po tych pracach bitewnych chce, aby było głośno, składnie, ładnie pod czystem niebem na falującej ciepłej sandomierskiej ziemi, — więc 2-gi pułk urządził podwieczorek.

Podwieczorek był inauguracją kantyny pułku, ale był też wspaniałą ucztą i stypą i biesiadą weselną na tych samych miej-

scach, gdzie parę dni temu szliśmy w ogień, a teraz są mogiły co krok, na nich krzyże, naboje i fiołki.

Polne fiołki zwyczajne.

Przyczem nikt sobie tutaj nie zawraca głowy, jest ucztą, uroczystość! Skoro nasza wojskowa, niechże będzie bez miary!

Więc było błogo i rozkosznie, jak może wtedy u księcia Józefa pod Lipkami, gdy się z Krakowem żegnał przed wymarszem pod Lipsk, — tylko, że pań nie było. Ale co nam po paniach! A może było nawet jak za króla, może jak za Kazimierza Wielkiego, bo się nasze wielkie stoły uginały pod niebem najjaśniejszem, na świeżej fali traw.

Mieliśmy tak pogodne sumienie do tego podwieczorku!

Wokół stołów i jedy naszej pachniało polem i miodami łąki, słońce nam sprawiedliwie świeciło prosto w oczy.

Muzykę postawiliśmy obok chałupy. Za chałupą ciągną się plecione z łyka płoty, potem krzaki, a tu, — prawdziwe podziwienie: stoły nasze stoją przecie pod lipą,

na której papier jest przybity, z napisem:

CZEŚĆ CI, KOCHANY WODZU!

Na stołach kwiaty, całe bukiety, łapa żołnierza wiązane, wspaniałe wiechcie!

Było też wino takie, siakie! Rozmaite suchości, jak na przykład orzechy, migdały, albertki, biszkopty. Ale, bracie, biszkopty, — jak wiosła!

Za stołem płynie zboże, wspina się na górki, jakichś 800 kroków i halt! To już linja...

Ach, linja i nieprzyjaciół — nie mam większego zmartwienia, jak nieprzyjaciół!

Siedzimy tu i jemy.

Brygadjer nasz na pierwszym miejscu, ojciec wszystkiej roboty, dalej szef sztabu, dalej panowie podpułkownicy, różne świeże majory, kapitanowie, porucznicy. Jest Tunguz-Zawiślak, co wziął karabiny maszynowe, jest Rokita, Toporczyk-Błęszyński!

Co ci z nazwisk, z osobistości, z osób, czy to mają być korale, żebym je nizał na sznurek?!

My jesteśmy! Wypisaliśmy sobie i do lipy przybili:

CZEŚĆ CI, KOCHANY WODZU!

Kto?

My!

Co nam po paniach i wszystkim, chodźcie zobaczyć, jak tu siedzimy kręgiem. Słońce nas grzeje, trawa kołysze, — cicho, bo będzie mowa!

Major Berbecki peroruje.

Bardzo składnie powiedział, krócej, niż na bankietach politycznych w stolicy. Wszyscy dawno wiedzieliśmy, co powie, bo wszyscy to samo czujemy.

Siedzimy tu za białym stołem w morzach złotości i wiosennej pogody nad nami przegony błękitu, za rowem wróg, a z boku wiatrak trzeszczy, czyją śmierć znowu miele?...

Będziemy słońce pili jak miód, w ten nasz żołnierski podwieczorek, — na lipie wierny napis, — cała ojczyzna jest tutaj w porządeczku!

— Słuchaj, adjutant, każ im grać walca teraz!

Grają walca, siedzi nas tu kilkudziesięciu, rozumiesz, głupi, to jest w Polsce i my jesteśmy Polską, to nie jest żadna wielka, chmurna rzecz, tylko rzecz, o którą się bijesz!

Komendant mówi.

Zcichliśmy wszyscy, Piłsudski stał za stołem, w szarym mundurze, z iskrami słońca w głębokich, niebieskich oczach, z kielichem czerwonego wina w ręku, jakby z kielichem krwi. Mówi, że gdyby pułki swoje nazywał, toby 2-gi pułk Pierwszej Brygady nazwał pułkiem warszawskim, jako, że bataljony w skład jego wchodzące walczyły pod tem miastem.

Warszawo, Warszawo, czy słyszysz i czy wiesz, że idziemy ku Tobie przez tyle śmierci, w takim trudzie i w takiej radości?!

Czerwień jęła powoli przesycać promienie słońca.

Oficerowie śpiewają chórem:

„Oto dziś dzień czci i chwały...”

Ręce drżą lekko, jak światło; mundury prężą się na piersiach, wielka miłość Ojczyzny tętni w sercach, jak dzwon.

DEFILADA

Trąby już dma, leci struga spiżowego głosu! Powietrze pęka w rytmach marszu, szerokie zamachy kreślą się pod niebem uroczystem.

Z drogi!

Duma i radość wybucha z giętych trąb, niecierpliwy werbel pruje się twardo, gęstwa ech pędzi po błoni, flet tryska w niebo fontanną, puzony tchną basem zażywnym.

Z drogi!

W złotych kręgach, w chręście, rozgłosie, łomocie, sunie daleka mgła; jak-gdyby cień niebieski, żywopłot stałą przetykany, — ruchomy mur!

Zamachy wspaniałe przez powietrze się kreślą.

Kto tu widz?

Tu jest widzem spłoszony tłum kielecki. Przyczajone na dachach chłopaki,

gdy Belina na mieście oficera rosyjskiego przez łeb ciał! Przerazone łyki i żydki z pod Nowego Korczyna, stare mury krakowskie, gdy z pod Uliny wojsko tam polskie przechodziło jak jawa z innego świata! Wydmuchy i mrozy Podhala i śmierć ogromna w Łowczowieckich parowach.

Już idą: wytacza się, rozwija ze zwoju dalekiego, Tobie ojczyzno posłanie, z mocnego sukna postaw wyborny, — Pierwsza Brygada!

Defiluj ze wszystkim, w coś świetna i bogata z całą chudobą swych statków i pożytków, z całą husarją swych poległych żołnierzy, których groby znaczy krzyż prosty, jak koncerz wbity w ziemię.

My w podniebnych chmurach kurzu, sprężyną wichru ściśnięci, biczem mrozu chłostani: My, krety w ziemię wkopane, — Pułk Pierwszy!

Cóżeś to myślał, pułkowniku Śmigły, gdyś jechał do dworu po strasznej bitwie konarskiej w pogodny, szczęśliwy dzień,

z gałązką bzu w rękach, samotny,
uśmiechnięty?

Mocna jest twa pogoda, jak południe.
Nie zmogą jej te różne wichry co się
w różnych stronach Polski przędą wokoło
twego pułku...

Komendant Główny czeka na swem
miejscu.

Podchodzą!

W złotych falach, w chrzeście, w łomocie, — werble sypią się twardem ziarnem, jak pieprz. W kurzawie błoń, pod nieobjętym skrzydłem wiosny...

Komendant Główny: Piłsudski!

Na kroków sto, ziemia poczyna drżeć
mocniej.

Sprężył się każdy muskuł. Stopy twarde
jak róg biją o ziemię płasko, równa się
szereg pod sznur, pod nitkę, ach, pod
włos!

Trąba dmie, radość kipi, w złotym
rozgłosie cześć oddają dowódcy. Oficer
klingą szarą stalowej błyskawicy kreśli,
głowę mu w prawo poniosło, w stronę
Komendanta Głównego.

Żołnierze, szereg, głębia i kolumna!

Twoje spojrzenie tych wszystkich spojrzeń treść, tyś jest tych wszystkich twarzy jedyne oblicze, wszystkich imion nazwisko.

Kto tu widzi?

Tu widzem rozpacz chłopów, pędzonych z ziemi lubelskiej na wszystkie
końce świata. »Pochwalony«, — ciśnięte
z oswobodzonej gromady tym, co szli
łańcuchem tyraljery przez zboża. W
starym dworze łązy ocalenia, a w starym
mieście krzyczące we wszystkich oknach —
hosanna!

My, w zawierusze śmierci regulamin
męstwa, orężne, krwawe z Moskałem
prawowanie — Pułk Drugi. Na toś właśnie,
majorze Berbecki, z Japończykami stawał,
byś teraz fronty łamał i rosyjskich piechurów
jak krupy zgarniał w objęcia
swego pułku.

Na rzemieniach karabinów pięście jak
guzy kamienne, w plecaku śmierć, a piersi
naprzód!

My w lesie Kozinkowskim wąż po-
ćwiartowany a żywy, na jesiennych roz-
łogach Wołynia czworobok nieugięty,
w czarnem błocie torfowisk z pod Kukli
szturm popędliwy — Pułk Trzeci.*).

Warczą ciężkie armaty, za Beliną hu-
czy grzmot kopyt, konie robią chrapami.

Trąba dmie, kaski ułańskie jak gonty
zwarły się w jeden dach, ziemia tętni...

Idziemy, przybywamy tu z oddali jak
mgła, — jak cień, — żywopłot stałą zwią-
zany, — żywy mur.

Pod stopy Twe, droga Ojczyzno, płynie
ten postaw sukna, pod stopy Twe się
ściele!

*) V i VI bataljon I-szej Brygady, które nazywano wówczas
3-cim pułkiem Strzelców.

PIERWSZA ROCZNICA

Front twardym kątem ułańskich kas-
ków zakończony w zarys muru. Przy no-
dze gięta błyskawica krzywych szabel.
Przez piersi krasny rabat.

Twarze chwackie, łuską srebrnej podpin-
ki obwiedzione, jak sama wierność patrzą.

Dziś rok, — drugiego sierpnia 1914-go
roku, jak wyszli w siedmiu przez granicę.

Belina, Grzmot-Skotnicki, Stefan Kule-
sza (Hanka), Janusz Głuchowski, Antek
Jabłoński, Ludwik Skrzyński, Zygmunt
Bończa-Karwacki.

Akurat rok, jak pierwszą odprawę miał
dla nich Sosnkowski.

Zadanie: przeszkodzić mobilizacji w Mie-
chowskiem. Zaszczyt: będą pierwszym od-
działem polskim, który przejdzie rosyjską
granicę.

Dziś, po roku, rozrośli się już w ten
żywy mur.

Przy nodze gęsta błyskawica szabel,
przez piersi rabat, jak purpurowa krew.

Tak stoi w kołysaniu strzałów armat-
nich i w pięknościach zachodu słońca, na
rżysku ziemi lubelskiej 1-szy pułk jazdy
I-szej brygady Legjonów.

Nadjeżdża Komendant Piłsudski.

Raport.

I „rozejść się“ na wspólne przyjęcie do
ogrodu przy chałupie. Hurmą jeden za
drugim i jeden przez drugiego, gdzie tkwią
stoły z białych desek, wieńce z kielbas,
olbrzymie pajdy chleba, po dwa kieliszki
wódki na gardziel.

Piwo.

Tam, gdzie orkiestra otwarte nuty o bu-
tle na ziemi opiera i gra.

Już noc zapada.

Chleb chrupie, kieliszki brzęczą, po-
liczki muzykantów wydęły się jak pyzy.

Belina podejmuje, gospodarzy.

Ktoś musi coś powiedzieć, już niespo-
sób! Wieczór zapada, hejnały i fanfary
kawaleryjskie dźwiękami wiążą się wśród
głębin wieczoru.

Ktoś musi coś powiedzieć, zasadniczo,
do gruntu.

Oto stoi na podwyższeniu porucznik
Marjusz Zaruski, ułan, polonus, jakiegoby
w niebie na łańcutówce malowali, żeby
tam taką pili.

— Komendancie! — powiada do Piłsud-
skiego.

Słowa oficera do wodza, proste,
w których jest tylko zwycięstwo, albo
śmierć.

Potem mówił Piłsudski do żołnierzy.
W ciżbie widać go nie było, tylko szedł
z tłumu głos, twardy, żywy, wielce odpo-
wiedzialny. O naszej kawalerji i o tem
jak pracuje. O wojnie, ciężkich, bohater-
skich jej sprawach. O olbrzymim wysiłku,
jakiego wojna ta wymaga od żołnierza
polskiego! Bo ludzie w boju i trudzie wy-
szarpują się, niszczą!

Porucznik Lewandowski nie wytrzymał
i wrzasnął: — Nie masz dla nas żadnego
zmęczenia!

Toasty szły za toastami, oficerów wgórę
pokolei podnoszono, a Piłsudskiego wy-

soko, jakby go brać żołnierska na niebie posadzić chciała.

Wreszcie trąby wyrzwały „Jeszcze Polska“, szable błysnęły z pochew i staliśmy w tym sadzie, w srogim blasku oręża, radością swoją zdjęci i starą pieśnią pielgrzymki polskiej ucieszeni.

Dumni z tych siedmiu, co rok temu wojnę polską rozpoczęli.

Potem pod gałęzią owocowej drzewiny siedli do stołu obywatele-komendanci, majorzy, porucznicy i drobniejsza szarża wszelka.

Śmiech okrzyki, muzyka, kokieterja, weźcie takiego Grzmota, Wieniawę, Orlicza, Lewandowskiego!

Noc pełna strzałów i śmiechu, zwiewne światło nad stołem i zamaszyste mowy. Rany Boskie, jak każdy gadał prosto z serca!

Znowu podnieśliśmy Komendanta na wiat najgorętszy, wysoko. Na ławie postawiliśmy, żeby go każdy widział.

Piłsudski w siwym płaszczu na ramionach, blaskiem świec od stołu obrzucony,

jak orzeł nad gromadą oficerów rozpostarty, zaczął mówić.

Że mu toasty na jego cześć ciążyły! Że się w toastach tych czuje symbolem jeno, — symbolem szeregowców... Żeby chciał sławą, która go otacza, obdarzyć każdego żołnierza! Bo to wojsko ochotnicze zasługuje dziś już na sławę wiarusów. Że w tem wojsku ochotniczem udało mu się uniknąć stanów odrębnych. Oficera nie dzieli przepaść od żołnierza!

Tu słowa Piłsudskiego zaostrzyły się:

Że szeregowiec u nas jest pieścuchem, a dobrowolnie w posłuchu trwa, ram nie przekracza, świetnym instynktem wojny wiedziony, przeto:

— Niech żyje szeregowiec!

Później siedmiu bohaterów przed sobą ustawił Brygadjer i pił ich zdrowie.

PRZYWITANIE MIASTA

(pod Lublinem, w roku 1915).

Nie dojdzie murów kochanego Waszego miasta nasz hałas powitalny i nie zapłaczę się w zaułkach starych ulic i nie wykrzyknę na bruku czcigodnego rynku, bo Was witamy nie słowem, nie pieśnią, lecz czynem.

Nastał w Polsce czas wielki, wspaniały i bezcenny, w którym rozstrzygają i narzeczcie znów pierwszeństwo mają czyny. Idzie ku miastu i ku miastu się zbliża nasze wojsko, jak odsiecz!

Słowa te pisane są w niezapomnianem nigdy serca wzruszeniu, radość rozprasza wszystkie wyrażenia i niesposób ich oblec w krasę należytej ozdoby.

Działo grzmi bezustannie, pocisk szybuję po niebieskim stropie, kłosa płonie, żołnierz polski wszywa się w bujny łąn rodzimych pól i walczy!

Tak Was witamy i to jest najszczęśliwsze przywitanie.

Kto? My!

Kość z kości i myśl z myśli Narodu: nasz Wódz przewidujący pracownik, który na całe lata przed wojną zrzeszał zastępy młodzieży, niszcząc spokój niewoli i tworząc zaczyn walki.

Wojsko przez lata całe w trudach i we krwi Ojczyznę miłujące! Prowadzone młoda, a pewną ręką oficerów, których imiona wplotą się w łańcuch imion sławy oręża polskiego.

Tak Was witamy my — wszyscy szeregowcy. Szeregowcy, czyli ów trud, którego nikt nie zmierzy i nie przeliczy, przeświecnie bezimienne męstwo i fatyga olbrzymia! Szeregowcy, niezłomny kościec wszystkich obrotów, chwytów, któremi bolejąca Ojczyzna wyrywa się z niedoli i pewną ręką sięga krawędzi lepszych losów.

Ze wszystkich szlaków, któremi szliśmy ze wszystkich tajnych dróg, oraz drogi Sybirskiej, którą wędrowali nasi poprzed-

nicy, ze wszystkich pól, w które wsiąkała krew nasza z pod Warszawy, Dębina, Kielc, Łowczówka, z Krzywopłotów, z pod Konar — niech zacne Wasze miasto przyjmie te pozdrowienia.

Polski żołnierz przed bramami tu walczy, Ojczyzna wstaje, walkom jego się uśmiecha ...

Sława laur wiję, księga dziejów na nowo otwarta, — rozewrzeć wrota domów, — otwierajcie swe serca, Polacy!!

ROCZNICA CZWARTAKÓW

Pierwszy raz spotkaliśmy się z Czwartakami po bitwie pod Urzędowem, 19-go lipca 1915-go roku.

Po odpoczynku w Kętach, była już wówczas brygada Piłsudskiego piąty miesiąc w boju. Byliśmy strudzeni, znużeni, wyczerpani, zaś Czwartacy!

Wszystko nowe, doskonała, bogata wyprawa wojenna, broń, rzemienie, buty, tornistry, siodła, pasy, cały rynsztunek, klamra w klamrę i „szczegóła w szczególe“ — jedna jasna cholera!

Wozy, aż ziemia jęczy, trąby w orkiestrze — samo złoto!

Mieli nowe kuchnie, nowe mundury, aksamit szary na kołnierzach płaszców oficerskich, taki nowy, gładziutki! Mieli torby skórzane na mapy i bloki mel-dunkowe bez oślich uszu i rękawiczki białe!

Pułkownik Roja zaopatrzył swój pułk w wojenny ten dobytek.

Powiadam — mieli wszystko! W swym pułkowniku doskonałego oficera i gospodarza. Korpus oficerski chciwy walki i czynu. Szereg składał się z Piłsudczyków, Karpatczyków i z tęgiego ochotnego rekruta.

Jednego im tylko narazie brakowało jako pułkowi, mianowicie tradycji.

Jeszcze się wcale nie bili pod nazwą Czwartaków. Mieli iść w związku ze starą I-szą Brygadą, już sławną. A jako na Czwartakach ciążyło na nich znowu brzemie chwały dawnych Czwartaków.

Brzemie świetne, lecz ciężkie!

Nie od parady wyszywa się na czapce cyfry tak sławne w piechocie polskiej! Nie jest to przecie byle co i nie przyjdzie za darmo, nazywać się Czwartakiem.

Bo wszakże — generał Bogusławski pod Wielkim Dębem, Grochowem, Ostrołęką, — mili swoim, tak straszni obcym!

Razem z Czwartakami pułkownika Roji mieliśmy iść obecnie w ofensywie.

Zaraz przy pierwszym spotkaniu wydał brygadjer Piłsudski rozkaz powitania bratnich szeregów. Żeby się wzajem traktować z miłością, nie dogryzać sobie i nie wynosić się jeden nad drugiego.

Tymczasem, jak na złość, ten nasz okropny marsz! Wojsko stłoczone, jeden na drugim siedzi.

Była wydana uczta na cześć Czwartaków przez Brygadę. Wybudowano specjalnie szopę — wielkie przygotowania, — orkiestra i sardynki i wino!

Tymczasem przed ucztą przyszedł rozkaz wymarszu i deszcz lunął jak z cebra.

Wszystko się powarzyło, zmroziło, rozwodniło.

Pod Borzechowem mieliśmy Czwartaków w rezerwie, pod Jastkowem mieliśmy walczyć w jednej linji.

Pogoda sprzyjała. Lasy aż kipią od zieleni, po zagajnikach buja niebieska mgła. Polami zboża falują, och, rzekłbyś, samo szczęście po ziemi się rozlewa.

Z boku Lublin wzięty, już nasz.

Komendant Piłsudski już skończył narady. Pułk 4-ty idzie do bitwy. Pułkownik Roja na koniu, wysoki, tegi i spokojny.

Teraz już bataljony wywalają z lasu.

Z pośpiechem, z żarem szli do tej bitwy. Widać było, że się postawić chcą. I postawili się! Bili się pięknie, po bohatersku, z rozmachem, z furją!

Potem nas losy rozdzieliły. A potem znów biliśmy się razem, na jesieni pod Koszyszczami. Już nikt nie spierał się o kwatery. Może mieliśmy się pokłócić o ten mizerny kawałek zawszawionego rowu?

Wyszedłeś z okopu Berbeckiego, szedłeś okopami Czwartaków, tak samo tu i tam.

Tylko że oni mają swego Roję. Jak sobie chłodnym listopadowym rankiem stał w świtce pod Koszyszczami i przypijał do Piłsudskiego! Było to bardzo z polska, serdecznie, z gospodarska.

Znów wojna, — oni tu — my tam, — największe kochanie nic na to nie pomoże.

Dnia 28-go maja 1916-go roku jedziemy pocztą zamaszystą na rocznicę Czwartego Pułku do Rojowego osiedla. Przejeżd-

dzamy przez bramę z choiny — chorągiewki biało-czerwone lśnią w iglastej zieleni, dwóch oficerów czeka w bramie triumfalnej.

Jedziemy dalej przez las wiosną stokrotnie orzeźwiony, znów brama, i głos trąb!

Tu goście się meldują. Wyciąga się ku nim na powitanie mocna, szeroka ręka pułkownika, a miłe wejrzenie zaprasza.

Znów fanfary. Jedzie biskup Bandurski z generałem Puchalskim w eskorcie oficerskiej.

Biret biskupi w tłumie kasków i czapek kraśniejący jak poziomka, posuwa się do kaplicy, kaplicę wystrugano z pni sosnowych, zakopiańską, że klękajcie narody.

Nabożeństwo. Kapelani pułkowi służą do mszy.

Bataljon Czwartaków naprzeciw ołtarza w zwartym szyku, po bokach goście. Więc delegacje wszystkich pułków, wszystkich brygad, delegacja Naczelnego Komitetu Narodowego z księciem Lubomirskim, Departamentu Wojskowego z podpułkownikiem Sikorskim na czele.

Po mszy, kazanie księdza biskupa w najgodniejszych słowach, prawda głęboka, — „w przelanej twojej krwi, żołnierzu, żyje Naród“.

Wszyscy goście byli na konkursowym strzelaniu, gdy przyjechał Komendant Piłsudski. W jednej chwili półokrąg się sformował.

Tu się nareszcie pierwszy raz spotkali i poznali: znakomity Litwin z dzielnym, przezacnym Mazurem, Piłsudski z pułkownikiem Zielińskim.

Po rozdaniu nagród za strzelanie, przeszli zaproszeni goście na obiad do przestronnej altany, zbudowanej z ogromnych pni.

Gdy już honoratorom zupę na talerze rozlano, wrzask się podniósł, bo nagle z boku, poprzedzana surmą fanfary, wjechała kuchnia polowa, zaprzężona w siwe konie, z porucznikiem Pełdjakiem na koźle.

— To Gruby, Gruby! — krzyczano — ten sam, który nam zupę dawał w Oleandrach.

Więc sznurem gęsiego do Grubego, do kuchni panowie oficerowie, każdy z talerzem w łapie.

Przy obiedzie, w cieniu i w szumie lasu, w dźwiękach muzyki, po pieśniach z czasów generała Bema, które śpiewali zaproszeni honwedzi, rozpoczęły się nasze toasty.

Pierwszy jest na cześć wolnej Polski, — pułkownik Roja.

Potem major Galica na cześć biskupa Bandurskiego. Potem głębokiej treści toast wypowiedział kapitan 4-go pułku Bończa-Uzdowski, wnosząc go na ręce generała Puchalskiego.

Potem major Ryłski pił na cześć brygadiera Piłsudskiego. Toastowano wielokrotnie na cześć 4-go pułku, a pod koniec kapitan Kukiel przypominał, jakto tamci czwartacy w 1831-ym roku...

„Oto zapada zmrok. Generał Skrzynecki niezdecydowany każe przerwać bitwę... Lecz Czwartacy prowadzą ją dalej, porywając za sobą inne oddziały, zdobywają rosyjskie pozycje“.

Czuło się, patrząc po zbrojnym zgromadzeniu, po twarzach błyszczących w słońcu, obramowanych szorstkim łukiem

sosnowego wieńca, czuło się patrząc na tych Czwartaków spokojnych, silnych i śmiałych, że to godne prawnuki generała Bogusławskiego, że skarb tradycji pomnoży się ich męstwem, a potęga chwały w lepszą potęgę czynu się przemieni.

WIELKANOC W POLU

(1916-GO ROKU, W KARASINIE).

W Wielką Sobotę dzień był piękny, że się zasłuchać można było, zapatrzyć, zasnąć z łaskawego spokoju i dobrego wywczasu.

Już wiosna! Drzewa się rozprężają w różowych gałęziach. Wszystkie pędy przyziemnych krzewów, konary starych grusz, wątłe kolanka ciemnej olchy i wiotkie zgiby wierzb sprószył już wszędzie załazek pierwszych, nowych liści.

Niebo wilgotne, połyskliwe, bezmierne, niby jakieś zdziwienie bezgraniczne! W świetlistych dalach tego nieba kluczy głos ptaków ucieszonych.

A we wsi ruch!

Coraz trzasną wrota, żołnierz śpieszy z piramidą paczek, puszek, zawiniątek, które mu się na stulonych rękach piętrzą od piersi aż pod nos. Brodą przytrzymuje,

żeby się to nie wywaliło, salutować nie może, tylko oczyma błyszczącemi wskazuje na tę darowiznę z domu, albo z któregoś miasta, gdzie rok temu walczył. Miasto mu to pamięta, że walczył, więc przysłało święcone.

Nikt dziś nie hula na huśtawce, kręcącej się na połamanem kole od wozu, nikt nie gra w kręgle. Żołnierz snuje się po wsi, drzemie w słońcu, wyłazi z ziemianki i słucha, jak na szmaragdowych moczarach zestraja się pieśń wiosny.

Dziś u nas o godzinie 6-tej wieczorem rezurekcja. Bataljon służbowy ustawił się przed cerkwią.

Już niebo się przemienia, wielkie światło słońca przekwita w różowych fioletach. Między gałęzie wysokich drzew, dokoła cerkwi, wionął mrok; po ciżbie wojennej słowa półgłosem przelatują, piaszczysta droga wsi już srebrzyć się zaczyna w bladem lśnieniu wczesnego księżyca.

W szarych, aksamitnych głębiach cerkwi zadrżały światła nad ołtarzem. Cisza wionęła po szeregach.

Słyszał było tylko, jak daleko na strzechach klękocą bociany, a w miękkim tle pól wschodzi nowe życie. Aż w szeroki oddech tej pory dobroczynnej wpadły niespodziewanie trele dzwonków od ołtarza.

W pierwszy dzień Wielkiej Nocy ta sama znów pogoda, co wczoraj. Rano była wielka parada i defilada. Bataljon za bataljonem, pułk za pułkiem, a na skrętach, w szyku rozwiniętym misterne zachodzenie.

Po defiladzie, — święcone. Nie takie tam, że przyszedł, zadzwonił, usiadł na krzeselku z talerzykiem w rękę, z różkiem chustki jedwabnej w marynarce.

Święcone z ciągłym śpiewem, wśród nieustającego okrzyku radości, co się jak chmura klębił i przelewał nad wsią. Za stołem niby grzęda kwitnąca, — orkiestra z muzykantami w złotych trąbach na szyi i przez plecy.

Po południu na wielkim boisku match footballowy i bieżanina zajądła do upadłego.

Jednej piłce rozbili bebechy.

Dawać drugą!

Już lecą. Tylko się błyszczą w słońcu zwięzłe, mocne kolana. Nad spletaną gęstwą obłoków pyłu wzbija się elastyczna, skórzana kula, niby szalona istota gonitwy i zabawy.

Potem znów święcone i jeszcze raz muzyka, ktoś dusi boki harmonji, przez którą omal życia nie postradał w boju, bo ją wszędzie za sobą taszczy.

Ktoś oczy w gwiazdy wlepił, harmonijką po wargach wystrzępionych wodzi, pięściami blaszkę oprawy pociska, jakby z owocu tony słodziutkie ssał, nie z instrumentu. Tamci objęli się ramię w ramię i opowiadają sobie, chrupiąc jakieś ciasto — wciąż o niej, o niej, o niej!

O tej miłej dziewczynie!

Na drugi dzień jeszcze raz święcone.

Kurz nad wsią i nowa zawierucha głosów.

Zobaczysz tych żołnierzy, jak bronzowymi rękami krają jedzenie i w ciemnych garściach niosą do ust białe kawały ciasta i śmieją się niebывałym rechem.

Ujrzysz ich, jak ubrani kwiatami i pstrym papierkiem darów, leżą w słońcu lub śpią w dosycie na przyzbach ziemianek.

Wieczorem drugiego dnia przyjmowała wizyty Brygada.

Ciemno już było, gdy konie ostatnich gości odprowadzili ordynansi. Przed domem rozłożyła się orkiestra. Wiatr świece gasi, to znów promienie między ciżbę ciekawych ciska. Oparli się o płot i patrzą w okna.

W izbie zebrali się oficerowie, podoficerowie i żołnierze zaproszeni. Aż szaro, ciemno od mundurów. Szef sztabu Sosnkowski pod nieobecność komendanta Piłsudskiego zaczyna ceremonję.

Wysoka postać szefa posuwa się naprzód od żołnierza do żołnierza, dzióbią w talerzyk z pokrajanem jajkiem i podają sobie ręce.

Teraz ucztą!

Nowa orkiestra we drzwiach. Jeden na skrzypcach, dwaj na harmonijkach ustnych. Oczy spuścili, brzuchy naprzód podali,

aż skrzepli w sobie od tych wybrednych tonów.

Czwarty dmucha w butelkę. Butla dudni jak kontrabasy, gdy nagle wstaje Szeł Sosnkowski i woła:

Zdrowie Komendanta Piłsudskiego!!

Poderwało się wszystko z ław, okrzyk wyleciał z izby, wzbiera na dworze i trwa potężny wśród czarownego milczenia wiosennej nocy, jakby się nigdy nie miał skończyć.

POD KOŁODZIEJAMI

(1916, 4—7/VII)

I.

Mnożyły się już przy końcu czerwca coraz wyraźniejsze oznaki, że na odcinek Legjonów nastąpi uderzenie rosyjskie. Trudno jednak było przewidzieć jego siłę i charakter wobec wytężonej akcji nieprzyjaciela na południu.

Dochodził stamtąd przez całe dni i noce głuchy ryk dział o silnie przyśpieszonym tempie. Chwilami stawał się tak szybki, jakby to były nie armaty, lecz jakieś gigantyczne karabiny.

Wobec natężenia walk na południu można było przypuszczać że przed frontem Legjonów przedsiębrane będą energiczne demonstracje, z którymi wypróbowany żołnierz polski łatwo da sobie radę.

Kroki zaczepne, jakie podejmował nieprzyjaciół w końcu czerwca, potwierdzać mogły te przypuszczenia. Były to ruchy piechoty, starającej się opanować przedpole i zmusić piechotę polską do utraty inicjatywy przed własnym odcinkiem. Robota ta, z natury rzeczy drobniawa i wielkiej wymagająca zręczności, przerwana została Rosjanom kilka razy przez 5-ty pułk Berbeckiego. Pozwolono tu mianowicie rosyjskiej piechocie uzyskać pewne korzyści po to jedynie, by ją w nocy nagłym wypadem odrzucić, zadać dotkliwe straty i zdemoralizować.

Praca wywiadowcza rosyjskich lotników również nie przekraczała normalnych ram. Ponad okopami uwijali się rosyjscy lotnicy, spędzani z nad linii karabinami maszynowymi.

Nie mogli byli zresztą wielkich lub nieznanych zupełnie zebrać nowości. Wszak pozycje obu armij, a tem samem i pozycje Legjonów, oddawna już były ustalone i o kształcie ich, dzięki trwaniu frontu na tem samem miejscu przez zimę i wiosnę,

można było nabrać dokładnego wyobrażenia.

Linja frontu Legjonów obsadzona przez III-cią i I-szą brygadę (II-ga brygada stała wówczas na odpoczynku, później zaś użyta była jako rezerwa tej części frontu), przebiegała przez lasy i polany z północy na południe około wsi Kostiuchnówki, jak gdyby palcowatym wygięciem dotykając w jednym miejscu nieomal samych okopów rosyjskich.

Wygięcie to, umocnione jak reduta, zwano redutą Piłsudskiego.

Poza nią pozycje szły, rwąc się wśród bagien, na południe wzniesieniami terenu aż ku wydatniejszemu wzgórzu, t. zw. Polskiej Górze.

Umocnienie okopów, mimo stosowanych zawsze przy pracy środkach ostrożności, musiało też do pewnego stopnia być znane nieprzyjacielowi.

Linja cała była solidnie szalowana drzewem, w wielu miejscach pobudowano głębokie granatniki (schrony przed cięż-

kiemi pociskami), umocniono placówki, połączono je telefonicznie.

Tam, gdzie wyniosłość terenu na to pozwalała, urządzono jak gdyby dwie kondygnacje, za pierwszą zaś linią utworzono sieć rowów, które stanowiły wzajem związaną drugą i trzecią pozycję rezerwową.

Wojsko rozłożone było jak następuje: Od lewego skrzydła ku prawemu szły pułki piechoty: 4, 6, 1, 7, 5 *). Komendant 1-go pułku, pułkownik Śmigły, prowadził centrum legjonowego odcinka, komendant 4-go pułku, pułkownik Roja, skrzydło lewe, komendant 5-go pułku, podpułkownik Berbecki, skrzydło prawe.

Po kilku dość leniwo przez Rosjan prowadzonych atakach na front 4-go i 5-go pułku, nastał względnie spokój, przerwany o świcie dnia 4-go lipca.

Główna siła uderzenia rosyjskiego w tej części frontu wymierzona została na od-

*) Wymieniane w dalszych ustępach tego opisu bataljony V-ty i VI-ty stanowiły wówczas nieuznany jeszcze przez c. k. Komendę Legionów, uznawany już jednak przez dowództwo 1-szej Brygady 7-my pułk piechoty.

ciniek zajmowany przez I-ą Brygadę, specjalnie zaś na prawe jej skrzydło, obsadzone przez 5-ty pułk Legionów i przez VI-ty bataljon.

Bitwa rozpoczęła się nagle, wybuchając odrazu z niesłychaną gwałtownością i, rzecz oczywista, rozlewając się również po całym froncie 4-go i 6-go pułku piechoty Legionów.

Atak obejmował także sąsiadujące na prawo i lewo dywizje armji.

Gwałtowny ogień artylerji nieprzyjacielskiej dnia 4-go lipca wzrastał z niebywałą siłą, przechodząc do potęgi straszliwego ognia huraganowego. Rosjanie walili w okopy pułku Berbeckiego, na redutę zajmowaną przez V-ty bataljon kapitana Olszyny oraz na pozycje VI-go bataljonu, pod komendą kapitana Kukiela, ogniem pięciu baterij ciężkich haubic 15 i 18-centymetrowych oraz przynajmniej pięciu baterij polowych.

Jak się później dowiedziano od rosyjskich jeńców, do samego noszenia amunicji, by nastarczyć pośpiechowi, użyli

Rosjanie części jednej z atakujących dywizyj.

Dwa stałe balony rosyjskie, utwierdzone po tamtej stronie frontu, kierowały celnością ognia.

W ataku i przygotowaniu go na tak wielką skalę skupił nieprzyjaciół odrazu największą energję, wymierzoną na cały szereg placówek polskich oraz na redutę Piłsudskiego i placówkę rozłożoną przed redutą w odległości 60 kroków od Rosjan.

W ogniu artyleryjskim poczęły detonować wszystkie przygotowane tu zawczasu na wypadek szturmów miny. Okopy usuwały się żołnierzom z pod nóg po prostu.

Placówka umocniona przed redutą zamieniła się w kupę piachu i rumowiska. Około godz. 10-tej rano obsada placówki, nie chcąc ponosić bezowocnych strat, wycofała się na redutę, łącząc się z grosz obsady, którą na tym odpowiedzialnym posterunku stanowił V-ty bataljon, pod komendą kapitana Olszyny.

W tym samym czasie pozycje pułku Berbeckiego przedstawiały już niezwykle widok: unosiła się nad tą częścią frontu ruda chmura, wstrząsana nieustannie ognistym mrowiem wybuchów. Smuga piachu, kurzu i pyłu z rozburzonych okopów, niby olbrzymia piętrowa ściana słaniała się ponad nimi. Niebo zaciemniło się od tumanów czarnego dymu granatów.

Gorący i pogodny dzień letni zamienił się w piekło. Do tej duszności, upału, pożogi i dymu dodać należy trzask eksplozji i przeraźliwy pisk latających w powietrzu odłamków żelaza. Cichy las pod Kostiuchnowką zaczął się wywracać, otrząskane gałęzie i konary spadały na okopy. Z łąk i wzgórz raz wraz wytryskiwały wysokie fontanny ziemi.

Pod tą rudą płachtą kurzu i ognia, pod gradem żelaza, w spiekocie i duszącym fetorze prochu trwali żołnierze 5-go pułku tak »zuchowato«, jak ich tego uczył podpułkownik Berbecki.

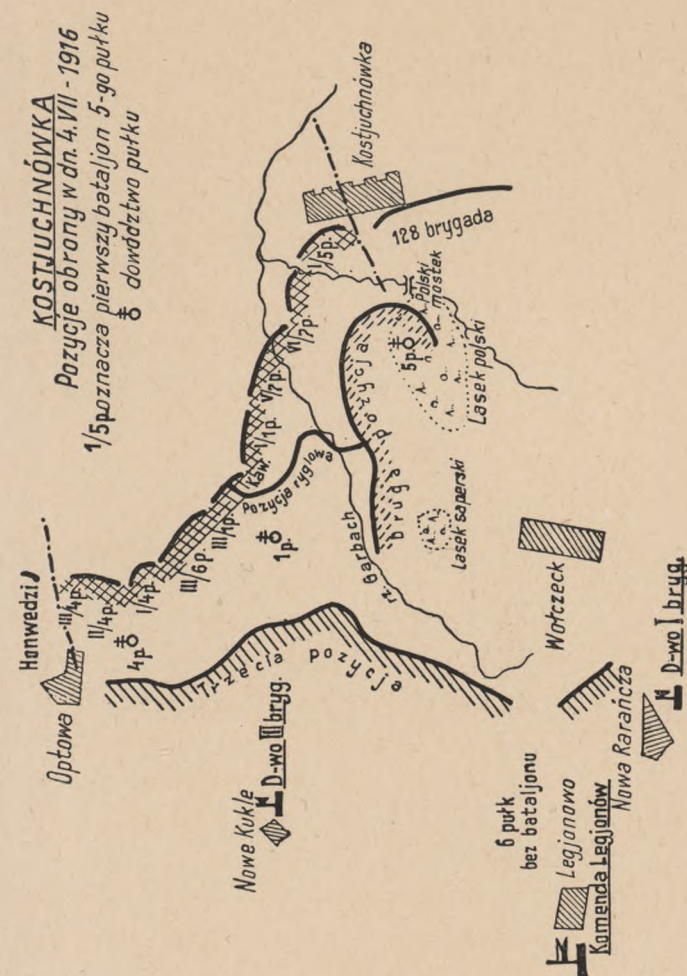
On sam świecił przykładem.

Dokoła budynków i ziemianek komendy pułku powyrywały granaty olbrzymie leje. Uderzenie ciężkiego pocisku wysadziło wszystkie szyby z okien, raniąc telefonistów i wywracając wszystkie sprzęty. To znów granat rozwalił ziemiankę i zabił na miejscu czterech żołnierzy.

Podpułkownik Berbecki z pogardą śmierci, z niezmaconem poczuciem odpowiedzialności trwał na stanowisku, jak gdyby ignorując tę zmołę śmierci, która szalała nad nim i jego oddziałem.

W nawale pocisków z ciężkich haubic towarzyszyli podpułkownikowi Berbec-kiemu mężnie adjutanci, podporucznicy Borek i Trapszo. Wśród rozrywanych na strzępy żołnierzy, prowadzili swe ba-taljony, kompanje i plutony oficerowie, nie oszczędzając własnego życia. A żoł-nierze? W rozchełstanych mundurach, zlani potem, czarni od kurzu, z ustami popękanymi od pragnienia, z wypiekami na twarzy...

Około południa, sztab I-ej Brygady z dawnej kwatery przesunął się naprzód



ku frontowi. Założono centralę telefoniczną w Lasku Saperskim; część oficerów wraz z Komendantem Piłsudskim poszła do okopów, przy centrali pozostał kapitan Tadeusz Piskor, który wycofał się z tego stanowiska dopiero następnego dnia wieczorem z kasetami telefonicznymi w ręku, otaczany już przez piechotę rosyjską.

Około godziny 13-tej przyszedł Komendant Piłsudski do okopów V-go bataljonu, pułkownik Sosnkowski zaś na stanowisko VI-go bataljonu, łączące się poprzez bagno z pozycją tak eksponowanego 5-go pułku piechoty.

Była to długa i nieopowiedzianie piękna godzina, gdy Piłsudski usiadł wśród żołnierzy, na reducie swego imienia, wstrząsanej huraganowym ogniem rosyjskich dział.

Komendant uczuł pragnienie. Żołnierze dali mu pić. Zdjął bluzę, rozmawiał wesoło i z nimi, i z kapitanem Olszyną, dowódcą reduty.

Pochylony, zgrzany, siedzący na jakimś pniaku, wśród tej burzy pocisków łagodny i łaskawy, sprawiał raczej wrażenie gospodarza utrudzonego serdecznie gwoździ dobrego swych najbliższych, niż wodza.

Kierowanie obroną stawało się nad wszelki wyraz uciążliwe. Wszystkie połączenia telefoniczne rwały się raz po raz. Łącznicy z niezmiernym ryzykiem jedynie mogli dochodzić do oznaczonego punktu, zważywszy morderczy i celny ogień artylerji rosyjskiej.

Około godziny 15-ej wzmógł się nacisk na prawe skrzydło centrum i na krańcowe lewe skrzydło, t. j. na 4-ty pułk pod komendą pułkownika Roji. Artylerja nieprzyjacielska nie przygotowała tu ataku tak stanowczo, jak przed 5-tym pułkiem, niemniej kolumny rosyjskie postępowały w masach coraz widoczniej. Powoli, ostrzeżliwując się, zaczęto zwijać linję placówek.

O godzinie 18-tej doszedł ogień huraganowy do najwyższego napięcia. Pod osłoną tego ognia rozpoczął nieprzyjaciół szturm na redutę, na bataljon kapitana

Kukiela i lewe skrzydło pułku Berbeckiego. Szturm odparto, prażąc przeciwnika morderczym ogniem.

Tu parę słów należy powiedzieć o charakterze i duchu wojsk rosyjskich, atakujących. Piechota rosyjska szła do szturmów bez rozjątrzenia bitewnego, bez zapału, napozór mogłoby się zdawać, że i bez strachu. Były to raczej olbrzymie, bierne fale ludzkie, podpływające ku okopom.

W boju wręcz nie wykazała piechota rosyjska żadnej energii. Dość powiedzieć, że żołnierze rosyjscy cofali się przed naszymi oficerami, bici przez nich szpicrutą. Ten sam jednak żołnierz podsuwał się w morderczym ogniu ku okopom, nie rzędami tyraljer nawet, lecz poprostu w zbitych kupach i gromadach. Podsuwany zaś pod druty zarzucał je płaszcami, padał na nie, następni zaś szli po moście ze swych towarzyszy naprzód.

W przeciwieństwie do piechoty, ogromną energję i odwagę wykazała rosyjska kawalerja.

Próby ataku na redutę Piłsudskiego zostały odparte. Równocześnie masy piechoty rosyjskiej pchały się jednak przez zarośla i las na lewo, atakując front 1-go, 6-go i 4-go pułku Legjonów.

Pułki te wycofywały z przedpola swe placówki, czekając na nieprzyjaciela w okopach, nie wziętych przez Rosjan pod działanie ognia huraganowego. Atak rosyjski, wstrzymany flankowym ogniem 6-go i 4-go pułku, załamał się kompletnie. Dzielni czwartacy przypuścili nieprzyjaciela na 50 kroków i z tej dopiero odległości zaczęli rozstrzeliwać zbite jego masy.

Tymczasem złamana została pozycja na prawo od pułku Berbeckiego. Pierwszy bataljon tego pułku, pod komendą kapitana Sława-Zwierzyńskiego, miał już na skrzydle i na tyłach Moskali.

Zarządzony przez podpułkownika Berbeckiego kontratak poprowadził porucznik Myszkowski dwiema kompanjami I-go bataljonu 2-go pułku. Kontratak ten, zdobywając opustoszałe na prawem skrzydle

pozycje, nie mógł być wspomóc kapitana Sława.

Widząc się otoczonym, kapitan Sław postanowił przebić się bagnetem przez Moskali. Wspaniałym tym i bohaterskim manewrem ocalił istnienie bataljonu. Sam padł w czasie tej walki.

Z drugiej linii obronnej, na którą wycofano się w ciągu wieczora, wyszedł jeszcze jeden kontratak pod komendą majora Wyrwy-Furgalskiego. Kontratak majora Wyrwy, prowadzony energicznie, musiał się cofnąć z powodu niezmiernej przewagi liczebnej Rosjan oraz możliwości oskrzydlenia.

Pierwszy dzień bitwy pod Kołodziejami dał możność zająć nieprzyjacielowi pierwszą linię naszych okopów, tylko w kilku miejscach. Zasadniczo pozycja się utrzymała, wiążąc się wzajem na pomocniczych stanowiskach.

Straty Rosjan na odcinku bronionym piędź po piędzi były olbrzymie. Ogniem karabinowym rozbijano całe kupy piechoty rosyjskiej.

W dniu tym okrył się sławą 5-ty pułk Legionów, na który szło największe uderzenie.

Podpułkownik Berbecki, jego oficerowie, jego żołnierze złożyli dowody męstwa, równego najwznioślejszym i najofiarniejszym przykładom w historii oręża polskiego.

Linja tej doskonałej piechoty, stojącej w huraganowym ogniu ciężkiej artylerji przez godzin piętnaście, wieczorem ruszyła do boju wręcz, walcząc skutecznie z nieprzyjacielem, wielokrotnie przewyższającym liczbę obrońców.

Odznaczył się wybitnie bataljon V i VI, prowadzony w związku pułkowym przez majora Fleszara. Walczył spokojnie i wytrwale pułk 4-ty i 6-ty.

Animusz był tak wielki, że po pomyślnem odparciu ataku w 4-tym pułku na odzyskanej i jeszcze płonącej placówce zagrała orkiestra. Ten dzień bitwy po raz pierwszy sprzęgnął we wspólnym boju większość pułków Legionowych.

II.

Po wycofaniu się z kontrataku, major Wyrwa przeszedł na swą pozycję pod Polski Lasek. Koło godziny szóstej rano trzy kompanje 6-go pułku Legionów obsadziły powstałą poprzednio przerwę i nawiązały łączność z sąsiadami.

Prawie równocześnie rozpoczął się ogień artylerji rosyjskiej jeszcze potężniejszy, niż dnia poprzedniego. Ogień ten trwał przez cały dzień i osiągnął intensywność tak znaczną, jakiej wczoraj nie było ani przez chwilę. Teraz waliły salwami olbrzymie działa 24 cm kalibru. Druga linja okopów była pociskami już około południa zupełnie rozbita.

Złota chmura piasku i kurzu, ścieląca się nad pozycjami, falowała gwałtownie, kłębiąc się w ciągłym przelocie pocisków.

Olbrzymie granaty rozwaliły cmentarz żołnierski, leżący opodal komendy 5-go pułku. Smród z rozbitych grobów i postrzelanych wczoraj, jeszcze nie pocho-

wanych żołnierzy napełniał powietrze, wonią zgnilizny. Potrzaskane krzyże wpadały do ogromnych lejów lub leciały wraz z ziemią i szczątkami ludzkiemi pod niebo i na las.

Rozbita już wczoraj kwatera komendy 5-go pułku, w której wciąż urzędował podpułkownik Berbecki, grążyła się ustawicznie w deszczu odłamków ze spadających dokoła pocisków.

W straszliwej nawale nie było słycać nawet lotu wielkich »kufrów«. Ustawiczny wstrząs powietrza i fala ciągłych eksplozji przejmowała żołnierzy bólem, skręcającym mięśnie. Działalność olbrzymich armat, wyczerpująca nerwy załogi okopów, poczęła czynić wielkie szczyrby w szeregach. Rannych daje taki ogień stosunkowo niewiele. Strzał celny zmiata i rwie w kawały całe grupy ludzi, a jeżeli już rani, to raną ogromną, rwaną, prawie beznadziejną.

Zdarzały się wypadki, że w jednej sekundzie ginęły posterunki z kilku, kilkunastu ludzi; że żołnierze, zmiażdżeni po-

ciskiem, wtłaczani bywali w pnie, tak, iż ciała ich a raczej szczątki, pomieszane z krwią i żywicą, kawałami odrywać trzeba było od drzewa. Z wysuniętych posterunków przyczółkiwali się poszczególni ludzie, wlokąc zmiażdżone nogi, połączone jeszcze z korpusem kilkoma pasmami skóry.

Cała załoga w okopach, wszystkie pogotowia rezerw stanęły wobec grozy śmierci.

Każdy krok, każde przyniesienie wody w manierkach dla plutonu czy sekcji, trawionych upałem słonecznego dnia i zaduchem prochu, każde podwiezienie żywności, dostarczenie jej w ciężkich kotłach aż na najdalej wysunięte posterunki, każda interwencja sanitariuszy wymagała bohaterstwa.

Wszystkie funkcje bojowej i pomocniczej służby sprawiane były dokładnie, ściśle i spokojnie, jak w normalnym czasie. Żołnierze, trudniący się dostarczaniem jadła i kawy, wlekli spokojnie ciężkie kotły rowami łącznikowemi aż do placówki w morderczym ogniu.

Żołnierze sanitarni wyciągali rannych, często odrywając rozgorączkowanych bojem od strzelnic i z narażeniem życia przenosili w bezpieczne miejsce.

Wszyscy doktorzy bataljonowi i pułkowi znaleźli się w pierwszej linii bojowej, opatrując rannych bezpośrednio po odniesionem obrażeniu.

Strzelanie naszej artylerji nie stanowiło dla „nieprzyjaciela” żadnej przeszkody. Małość naszych kalibrów i zerwanie pociskami całej sieci telefonicznej uniemożliwiało przeciwstawienie nieprzyjacielskiemu atakowi ogniowemu własnego.

Mówiąc o sieci telefonicznej, trudno nie wspomnieć o dzielnej i ofiarnej pracy telefonistów. Na zagrożonych odcinkach w największym ogniu i rwetesie bitwy łatali oni zrywane linje z narażeniem życia.

Należy pamiętać, że praca ta podczas wielkiego ognia artylerji jest niebezpieczna i bardzo odpowiedzialna. Patrol telefoniczny musi stale krążyć na zupełnie odkrytych przestrzeniach, musi tu

zatrzymywać się, a chociaż bardzo ekspozowany, musi dla wykonania swej pracy zachować zupełny spokój i zimną krew.

Ponosząc straty w rannych i zabitych, nawiązywali telefoniści łączność i utrzymywali połączenia, czysto i wyraźnie funkcjonujące aż do ostatniej chwili.

Drugiego dnia bitwy już od samego rana rozpoczął nieprzyjaciół podsuwanie się całemi masami pod cały front I-szej brygady. Wysłany około godziny 10-ej rano silny patrol przed odcinek I-go pułku, stwierdził już obecność znacznych sił i wziął na jednej z placówek kilkudziesięciu jeńców.

Burza ognia artyleryjskiego tak wczoraj, jak i dzisiaj szła na odcinek pułku Berbeckiego, niszcząc umocnienia, ludzi i broń.

Stan broni u obsady był już rozpaczliwy: karabiny maszynowe częścią zdemontowane, karabiny żołnierzy zasypywane piaskiem i niszczone pociskami artylerji, w znacznej części niezdatne do użytku.

Oddziały, trwające już około 48 godzin w ogniu huraganowym, postanowił Komendant Piłsudski złuzować częściowo oddziałami, na które napór nieprzyjaciela był mniejszy, częściowo zaś siłami, które dotąd nie brały udziału w boju.

Ogień huraganowy nie ustawał jednak ani na chwilę, wobec czego nie można było uskuteczyć manewru. 1-szy pułk ułanów ruszył kłusem z Nowej Rarańczy t. zn. z miejsca postoju I-szej brygady. Tylko się mignęły po polanach i leśnych drogach szare szwadrony.

Równocześnie koncentrowano 2-gi pułk ułanów, który wraz z 1-ym miał luzować piechotę pułkownika Śmigłego, ten zaś ostatni miał być zająć stanowiska 5-go pułku piechoty. Oddziały kawalerji w zręcznym manewrze podeszły do głównych pozycji piechoty, luzować jej jednak już nie mogły.

Koło godziny 19.30 runęły naprzód wielkie masy nieprzyjacielskiej piechoty, zachodząc na tyły II-go bataljonu 6-go pułku i 5-go pułku piechoty.

Oddziały te trzymały się w krytycznem położeniu do ostatniej chwili, wówczas jednak, gdy grupy nieprzyjacielskie dochodziły już na środek odcinka majora Fleszara, a więc sięgając obejściem daleko w głąb poza oskrzydłany oddział, — II bataljon 6-go pułku i pułk 5 musiały się cofnąć.

W związku z bataljonem 6-go pułku, dalej z 5-ym pułkiem piechoty musiał zejść na dalsze stanowiska bataljon V-ty i VI-ty, prowadzone przez kapitanów Olszynę i Fleszara, pod łączną komendą majora Fleszara.

W czasie przekładania linii na dalsze stanowiska odznaczył się znakomicie porucznik Lis-Kula, który na szybko rozwinięty front swej kompanji przyjmował nieustannie fale piechoty rosyjskiej, uderzającej ogromną przewagą liczebną. Por. Lis cofał się ze swą kompanją i zakrywał odwrót całego oddziału, co kilka kroków zwracając front, naciskany zewsząd przez gromady piechurów rosyjskich.

Późnym wieczorem i w części nocy, zając wypadło ostatnią linię obronną, opartą o lasy i wzgórze. Była to już linja nie umocniona ziemnymi robotami, słabo odrutowana, nie mogąca wytrzymać wielkiego naporu artylerji.

Rowy były tu już nie głębokie, tak, że załoga nie mogła w nich była mieć dostatecznej swobody poruszeń.

Sytuacja była tem groźniejsza, że kiedy lewe "skrzydło" frontu nieprzyjaciół próbował teroryzować wyrzucaniem pośpiesznie w las aż do przejścia przez most grupami kawalerji, prawe skrzydło, po zwinięciu bataljonu VI-go i całego 5-go pułku, wisiało w powietrzu, utykając w pustkę.

Wytworzyła się tu luka, którą łączyć trzeba było w nocy. Trudne to zadanie powierzył szef sztabu, pułkownik Sosnkowski, kapitanowi Karasiewiczowi. Opuszczoną przez artylerję wieś i wzgórze przed wsią objął kapitan Karasiewicz patrolami, gromadząc równocześnie ostatnie rezerwy.

Była to część świeżych oddziałów kawalerji i części piechoty 5-go i 6-go pułku. Piechurzy byli już niezmiernie zmęczeni i widać było, że trawi ich gorączka. Należało podziwiać hart, siłę i wytrwałość, z jaką ci ludzie, już pewni odpoczynku, zawracali z powrotem na stanowiska pod bezpośredniem dowództwem mężnego porucznika Stanisława Skwarczyńskiego.

Ostatecznie o godz. 1-ej w nocy wypełniono lukę i grupa kapitana Karasiewicza, złożona ze szwadronów obu kawalerji, z kompanji saperów kapitana Dąbkowskiego oraz z kompanji technicznej komendy Legjonów, nawiązała łączność z sąsiadami.

Pożar, płonący na opuszczonych pozycjach, przyświecał nowemu rozmieszczeniu oddziałów. O świtaniu leżała już naprzeciw nieprzyjaciela o kilkaset kroków od dawnej wyciągnięta, nowa linja gotowa do boju.

Już wracały patrole z jeńcami, którzy zeznawali zgodnie o przygotowaniach nowego masowego ataku rosyjskiego.

III.

Trzeci dzień bitwy zapowiadał się równie krwawo jak pierwszy i drugi. Rosjanie przystępowali po swych ogromnych stratach z nowymi siłami do szturmów.

I-sza i III-cia brygada Legjonów, walcząc ramie w ramię, czekały nieprzyjaciela na pozycjach obronnych, z wciągniętymi już w linię wszystkimi rezerwami. Nieprzyjaciel, osłabiony wielkimi stratami, poniesionymi w ubiegłych walkach, nie następował od razu na pozycje obu brygad szturmem, lecz wiązał się z nimi silną strzelaniną piechoty, prowadzoną z bliska.

Fala rosyjskiego uderzenia, nie mogąc wgnieść i złamać frontu piechoty polskiej, szła na lewo stojącą dywizję honwedów oraz na prawo od polskiego frontu w kotlinę, której bronić miały z różnych stron zebrane i w grupę złączone oddziały c. k. armji.

Jeszcze dalej na prawo od nich walczył 3-ci pułk piechoty Legjonów.

Dla zupełnego odczucia sytuacji trzeba wiedzieć, że pułki piechoty polskiej, już trzecią dobę pozostające w najgorętszym boju, miały naprzeciw siebie świeże siły nieprzyjacielskie, kilkakrotnie przeważające liczebnie, poparte masą nie użytej jeszcze w walce kawalerji oraz skoncentrowaną tu bardzo silną artylerją.

Żołnierz nasz, przebywający już trzeci dzień w huku i rwetesie bitwy, głodny i senny, znalazł się w tej chwili zupełnie bez rezerw w płytkiej linii leśnej lub tylko o las opartej. Jedno choćby chwilowe przerwanie tego frontu mogło być spowodować katastrofę, gdyż z tak znużonym żołnierzem trudnoby było nawiązać wzajemną łączność przerywanych części.

Sytuacja komplikowała się także przez połączenie różnolitych jednostek taktycznych, co w chwili decydującej mogłoby wpłynąć ujemnie na obrotność poruszeń. W rzutkiem jednak i zdecydowanym ręku Komendanta Piłsudskiego wszystkie nowo przydzielane do odcinka oddziały nabrały

odrazu pewności siebie i elastyczności ruchu.

Bój wzrastał z każdą chwilą, piechota nieprzyjacielska stawiała się coraz bardziej natarczywą. Jeszcze koło godziny 11-tej przed południem przybył koleją na stację Wołczec bataljon piechoty niemieckiej, który prosto z wagonów krytymi drogami podążył do rozporządzenia komendy I-szej brygady.

Podczas, gdy na froncie brygad trwało bezowocne dla Rosjan podsuwanie się i odosobnione ataki na pozycje, obok frontu polskiego, na prawo, wywiązała się gwałtowna walka, w której front został przerwany. Prawe skrzydło Legjonów, złożone ze spieszonego 2-go pułku ułanów oraz z 7-go pułku piechoty (t. zn. z bataljonów, V-go i VI-go), zawisło znów w powietrzu.

Zbliżała się jednak właśnie godzina, na którą rozkazany był odwrót.

Komendant trzymał oddziały sobie powierzone dalej na tych samych pozycjach, oczekując jeszcze ataku kawalerji.

Istotnie, nie pomylił się.

W pewnym momencie wychyliły się z gąszczów saperskiego lasu szwadrony jazdy rosyjskiej, poszły na wskos, za cmentarz wsi Wołczec, z kierunkiem na stację kolei.

Gdyby masa tej konnicy mogła była spełnić swe zadanie, gdyby oskrzydlając i tak odkrytą prawą flankę sił Piłsudskiego wpadła w las i tu starła się z zaskoczoną obejściem piechotą naszą, cała ta część frontu, musiałaby ulec rozbiciu. Uniemożliwiony też zostałby odwrót cofającej się piechoty z sąsiedniego odcinka, którą kawalerja owa napotkałaby w marszu na leśnych drożynach. Rozbiwszy, a choćby tylko zmieszawszy te wojska, jazda nieprzyjaciela mogłaby opanować daleko w głąb wnętrze lasu, przez co kierunek ściąganych z odcinka oddziałów nie mógłby być koncentrycznym, a przeciwnie — musiałby pozostać odśrodkowym.

Na szczęście, dzięki intuicji Piłsudskiego, stało się inaczej.

Już pokazanie się kawalerji na wzgórzach podchwycił major Brzoza, skierowując na nią celny ogień swych polówek. Konnica rosyjska zachwiała się przez chwilę. Na czoło jej wyskoczyli oficerowie i wydobywszy szable — poprowadzili szarżę.

Widać było, jak masa tej kawalerji bierze impet, widać było doskonale, jak pędząc bokiem do frontu naszego prawego skrzydła, w ogniu karabinów maszynowych i salw piechoty miesza się, kruszy, rozbija, wreszcie objęta kurzawą ziemi, w chmurze piachu, rozpada się na poszczególnych jeźdźców.

Nie minęło pół godziny, gdy nowych sześć szwadronów powtórzyło z wielką brawurą ten sam atak.

Obsada okopów, niszcząc tę szarżę, krzyczała z rozgorączkowania, nie zdarzyło się bowiem dotąd żołnierzom tak bezpośrednio widzieć skutków okrutnej celności ognia.

Niemniej sytuacja stawała się już bardzo groźną jak dla oddziałów, tak dla

samej komendy I-szej brygady. Przestrzeń leśną poza prawem jej skrzydłem obsadzał już piechotą swą nieprzyjaciół, mając do rozporządzenia całą sieć wyjeżdżonych w lesie dróg, któremi bardzo szybko mógł dotrzeć do stanowiska Piłsudskiego.

Wysłany na drogę odwrotną 5-ty pułk piechoty, idąc w kierunku dawnego postoju I-szej brygady, został silnie ostrzelany.

Komendant Piłsudski trzymał się dalej na niebezpiecznym posterunku, dopóki nie dał walczącym szczegółowej instrukcji cofania się, a także dopóki bataljon piechoty niemieckiej nie złuzował I-go polskiego pułku i nie stanął rozwinięty bojowo, jako arjergarda wycofujących się oddziałów.

Na boczną osłonę wyjechały szwadrony obu naszych pułków ułanów.

Wkrótce pełen zgiełku i tumultu las począł cichnąć; za masą piechoty i długimi korowodami wozów zamknęły się tumany kurzu, a tylko u cienistego wy-

lotu leśnych drożyn pozostały konne patrole, dudniące cicho wśród mchów.

Teren, w jaki wchodziła teraz piechota, przedstawiał wiele trudności dla obrony, zwłaszcza na wypadek walki nocnej. Były to rozległe połacie lasu, poprzecinane polankami, lub przerżnięte wielkim obszarem błot. W warunkach tych nie mogło być mowy o zaimprovizowaniu linii obronnej, jak również trudno było nawiązać łączność z sąsiednimi grupami.

Żołnierz, strudzony ciężką i wyczerpującą walką pozycyjną, po ogniu huraganowym, tylu szturmach i kontrszturmach, musiał być podjąć zadanie walki ruchowej na bardzo szerokim froncie.

Tymczasem, jakby zupełnie nie zważał na odbyte trudy i na te, które go znów czekają... Szara drobna piechota sypała się przez las wąską drożyną, strudzona, lecz rozmowna, karna i najlepszego ducha.

Na punkcie zbornym spotkały się ze sobą walczące w sąsiedztwie obok siebie pułki.

Miano zaraz po boju, cofnąwszy się zaledwie o dwa kilometry, prowadzić

nową linię obrony przez lasy. Zależało tu na tem, by jak najdłużej zatrzymać nieprzyjaciela po odstąpieniu linii Styru w przestrzeni między Styrem a Stochodem, aby tymczasem przeprowadzić przez tę rzekę ogromne parki trenów, pożytków i zapasów wojennych.

Około osady Kunskoje zaczęli żołnierze, mimo trzydniową fatygę, sypać nową linię, zaciągać nową sieć telefoniczną i to z wielkim pośpiechem, gdyż z lasu słychać już było coraz wyraźniej poszczególne strzały utarczek kawaleryjskich.

Nowe wiadomości z sąsiednich komend wpłynęły na zmianę dyspozycji. Żołnierz musiał rzucić rozpoczęte roboty. Pułki ściągnięto jeszcze głębiej w las, rozwijając je łamanym frontem w kierunku dróg, z których spodziewano się natarcia.

W ciemnej nocy, znacznej daleko na horyzoncie pożarami, przerywanej w najrozmaitszych punktach strzałami walki kawaleryjskiej, trzeba było zachować bardzo wiele ostrożności i rozwagi. Jeden nieopatrzny rozkaz mógł być narazić na

duże straty, poplątać układ sił i zmylić kierunek oddziałów.

Wszystkie manewry odbywać się musiały w bliskości nieprzyjaciela, w najtrudniejszych warunkach łączności. Starano się utrzymać całą sieć dróg i dróżyń, któremi nieprzyjaciół mógłby obejść całość sił naszych i przeciąć drogę odwrotu.

Zadanie to zostało przeprowadzone znakomicie. Żołnierz, strudzony już i wyczerpany, koło północy znów leżał na pozycji, tworząc drugi już w ciągu tego wieczora, zupełnie ściśle utworzony front.

Przyszły nowe rozkazy, przenosząc linię obronną nad sam Stochód i nakazujące nocny marsz na nowe stanowiska.

Skomplikowana maszyna, jaką są pułki i brygady wraz z całą masą taborów i zapasów, ruszyła w ciemnej wyjątkowo i chłodnej nocy, osłaniana pierścieniem kawaleryjskich patroli.

To stąd to zowąd wybuchały salwy wystrzałów. Piechota, znużona śmiertelnie,

sunęła długim węzem, znów bez jadła, mając przed sobą znów kilka godzin marszu.

Pragnienie (bo głodu zda się już nikt nie czuł) panowało tak ogromne, że ludzie pili z bagna lub z kałuży. Senność tak morzyła żołnierzy, że zatrzymawszy się na kilkuminutowy odpoczynek zasypiali głęboko, oparci na karabinie. Od czasu do czasu wpadały między maszerujące oddziały konie rosyjskie bez jeźdźców.

Odwrót ten i marsz forsowny w nocy z 6-go na 7-go lipca odbył się szczęśliwie, prócz tragicznego wypadku ze szpicą 5-go pułku.

Z powodu przerwania łączności, pułk ten stracił kierunek głównej kolumny. Wobec tego, podpułkownik Berbecki wraz z wyższymi oficerami, maszerujący w szpicie, postanowił iść — jak się to mówi — »na kierunek«, wedle kompasu. Obrął doskonale drogę, w trakcie marszu jednak natknął się na zasadzkę konnicy rosyjskiej.

W krótkim boju, który się nagle wywiązał, został ciężko ranny podpułkownik

Berbecki, padł major Wyrwa i poległo kilku żołnierzy.

Następnego dnia sytuacja przedstawiała się w ten sposób, że odwrót zasłaniały obie, zwolna do oparcia o rzekę Stochód dochodzące brygady, mianowicie I-sza i III-cia, wspomagane w związku z całością Legionów; II-ga brygada nadchodziła jako rezerwa.

Walka miała się toczyć na bardzo szerokim terenie. Za podstawy przyjęto trzy miejscowości, leżące nad Stochodem.

Na południu broniła dojścia do rzeki I-sza brygada, rozwijając pozycje ze wsi Trojanówka, wsparta 1-szym pułkiem ułanów.

Na północy, opierając się o wieś Nową Rudę, miał walczyć 4-ty pułk piechoty, poparty później 6-tym pułkiem.

Miejscowość, leżącą niejako w pośrodku na węźle dróg prowadzących do Trojanówki i Nowej Rudy, mieli byli zatrzymać ułani 2-go pułku. Ułani ci, w myśl otrzymanych rozkazów, przeszli jednak Stochód już z rana, tak, że między obiema częściami

wojsk, walczących na południu i na północy, otworzyła się pusta przestrzeń.

Przestrzeń tę wkrótce opanowali kozacy. Obserwujący pluton 1-go pułku widział, jak wpadli do wsi Gradyski (t. zn. do owej miejscowości na skrzyżowaniu dróg), jak podpalili ją i zaczęli rabować.

Po walkach awangardy, złożonej z ułanów 1-go pułku, I-sza brygada rozwinęła front przed Trojanówką, wstrzymując tu nieprzyjaciela przez cały dzień aż do późnej nocy. Tak samo wytrwał w bardzo trudnej sytuacji ze swym pułkiem 4-ym pułkownik Roja.

Groziło mu przez cały dzień odcięcie przeprawy. Między rzekę, do której bronił dojścia, a pozycje Czwartaków mógł się być wedrzeć nieprzyjaciel, wówczas zaś cały pułk nie miałby innego wyjścia, jak po czterech dobach walki i znoju przebijanie się z bagnetem w rękę.

W tym dniu złożył 4-ty pułk i jego dowódca jeszcze raz dowód męstwa i doskonałej dyscypliny. Już w czasie bitwy zmieniano kilka razy front. Już od dwóch

godzin flankowane baterjami kozackimi, bataljony rozwijały się w dwóch kierunkach równocześnie: ku nieprzyjacielowi do walki frontowo i również ku nieprzyjacielowi wtył i wskos, na wypadek przerwania drogi do rzeki. Piękna pogoda utrudniała manewry pułku, który przesuając bataljony przez Nową Rudę musiał być tumanami kurzu zdradzać swe poruszenia, a temsamem narażał się na silny ogień nieprzyjacielskiej artylerji.

Nareszcie około godziny 8-ej wieczór z płonącej wsi wycofał się szczęśliwie pułkownik Roja za Stochód, umożliwiając w związku z akcją I-szej brygady przygotowanie ostateczne linji tej rzeki, wyprowadzenie wszystkich taborów i obozów walczących tu wojsk, wreszcie obsadzenie tej linji świeżo sprowadzonemi, wypoczętymi siłami nowych oddziałów.

Ów ostatni dzień bitwy, aczkolwiek nie pociągający strat większych wymagał tak od dowódców, jak i żołnierzy, ogromnego wysiłku. Znużone ciągłym bojem wojsko nieomal że zasypiało na pozycjach.

Wszędzie też świecili przykładem oficerowie, wycofujący się w ostatnich strażach tylnych.

Wielka bitwa Legionów pod Kołodziejami kosztowała wiele ofiar. Najbardziej ucierpiał pułk 5-ty piechoty Legionów, na który szedł największy ogień i najsilniejszy atak. Pułk »Zuchowatych« Berbeckiego wytrzymał znakomicie ogień, odbił kilka przeważających ataków rosyjskich, zadając nieprzyjacielowi ogromne straty. Stracił w tym boju wielu znakomitych oficerów, podoficerów i żołnierzy.

I-szy bataljon tego pułku przebijał się na bagnety przez Rosjan z bohaterstwem, które może być porównane z najświetniejszymi walkami piechoty polskiej.

Równie świetnie walczył II-gi bataljon tego pułku, prowadząc wspaniałe kontrataki i rozbijając masy piechoty rosyjskiej.

Pułk 7 (V i VI bataljony I brygady) odznaczył się w tej bitwie znakomicie walką na reducie Piłsudskiego (bataljon V), osłoną odwrotu z pierwszej pozycji

(kompanja por. Lisa) i rozbiciem kawalerji rosyjskiej.

Spokój, upór w obronie, stanowczość w odbijaniu ataków gęstych mas piechoty rosyjskiej cechowała narówni pułki 4, 1 i 6-ty piechoty Legjonów. Dzięki tej stanowczości i zimnej krwi, ataki piechoty moskiewskiej, prowadzone całemi tłumami, załamywały się ustawicznie. Karabiny maszynowe dokonywały dzieła straszliwego zniszczenia.

Po pierwszym dniu szturmu, przedpola atakowanych pułków przedstawiały straszliwy widok, tak dużo tam było trupów i pozostawionych rannych rosyjskich.

Zadziwić może niewielka stosunkowo ilość wziętych jeńców w porównaniu z rozmiarem i ogromem walki. Tłumaczy się to tem, że Rosjanie atakowali całemi tłumami; że podnoszących dogóry ręce nie miało się czasu brać do niewoli, bo parła na nich z tyłu cała masa.

Masa ta i napór jej stanowił zupełne przeciwieństwo do liczby obrońców i charakteru walki. Po jednej stronie przewaga

cyfry, inercja, ślepa bierność, jakaś beznadziejna ociężałość, zupełny brak inicjatywy w poruszeniach.

Po drugiej energia, spryt, żarliwa gorliwość, świadome celu ryzyko i ofiarność.

Po jednej stronie manewr, polegający na zajęciu mnogoliczną gromadą pola walki, po drugiej spokojna i śmiała kalkulacja wojenna w operowaniu ogniem, w czasie zaś kontrataku zręczna obrotność i teroryzowanie przeciwnika śmiałością uderzenia.

W walce tej, prowadzonej przez trzy doby pierś o pierś, można, bez nadużywania uogólnień, powiedzieć, że starły się dwa odrębne charaktery, — polski i rosyjski. W zmaganiu się tych dwóch piechot, — karnej, obrotnej linji i ciężkiej masy bezkształtnej — można było z nieskończoną radością i dumą obserwować, o ile wyższym typem żołnierza jest polski od rosyjskiego.

Bitwa pod Kołodziejami okrywa dumą i żałobą wiele domów polskich, wiele rodzin, wiele miast, miasteczek i wsi. Po-

legli tam w bezwzględnej równości żołnierskiego stanu najlepsi ludzie różnych stron Polski i różnych warstw.

Tam złożył buńczuczną głowę kwiat oficerów całego 5-go pułku a przecie i inne oddziały złożyć musiały krwawą daninę zwycięstwu.

Tam wyszczerbił się i srodze przerzedził wyborny stan młodego podoficerstwa.

Na wydmach reduty Piłsudskiego, na łąkach i grząskich mchach głębokich lasów Kostiuchnówki zginęło tyle gorącej nadziei, tyle niespełnionego marzenia, tyle aż nadto dojrzałej i aż nadto hartowanej cierpliwości tych wszystkich sierżantów, kaprali, starszych żołnierzy, którym zasługa i wiedza i męstwo dawnoby przydzieliły stopnie oficerskie, jedynie zaś brak miejsca w szczupłych szrankach wojska przydziału tego wzbraniał. Na tych pozycjach, bronionych piędź za piędzią i krok za krokiem, poległo tylu najlepszych!

Obraz ciężkiej żałoby, którą Pamięć i Sława osłodzić muszą, nie może zaciemnić obrazu walki. Chociaż trudna i bo-

lesna jest radość, mająca wyniknąć z takich strat, chociaż tylu serdecznym ludziom przez łzy ją święcić wypadnie, to przecież, czy nie z takich właśnie najcięższych przeżyć wiąże się los narodów walczących o swe prawo?!

ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ

Wielkie chmury szły po niebie, pogoda była zimna, wiatr dął polami, jakby wśród lata, tego dnia właśnie naszej drogiej rocznicy jesień zstąpiła na ziemię.

Trudno się było zebrać wszystkim. Oddziały stały naprzeciw linii bojowej rozłożonej nad Stawokiem. Miejsce na nabożeństwo obrano obok zakładu sanitarnego I-szej Brygady, przy grupie chałup, stojących samotnie przed wsią.

Tam się ściągały delegacje pułków w szarości dnia, wichrze i żmudzie wolno przybywające. Zbudowano polowy ołtarz. Dalej na ściernisku ustawiał się czworobok wojska.

Piechota po bokach, wsparta na karabinach, wyszarzała, zmoczona; w głębi wysokim murem szarzeje kawalerja.

Wśród oficerów błyszczą paradne mundury konnicy. Srebrne sznury na ramie-

niu, srebrne wstęgi na piersi. Widać szarą twarz Beliny i drobną, podaną naprzód głowę majora Bukackiego, najstarszego z żyjących oficerów kadrowej kompanji. Podporucznik Jabłoński, porucznik Głuchowski, podporucznik Hanka, uczestnicy patrolu kawaleryjskiego z dnia 2-go sierpnia 1914 r., rozmawiają z artylerzystami.

Przyjechał ze swą świtą Piłsudski i schronił się do chaty szpitalnej.

Obok, za przegrodzeniem, przygotowywano się do operacji ciężko rannego w nocy żołnierza.

Przy płocie, strząsając krople deszczu z papieru, odczytuje sierżant plutonowi sanitariuszy rozkaz, wydany z racji dwulecia i ustanowionej odznaki. Stoją na baczność i mrużą oczy w zimnym wietrze.

W sieni chałupy, w której siedzi Piłsudski, nabrało się już ludzi. Deszcz pluśka o próg, trzepie po żółtym fartuchu medyka. Dwaj ranni żołnierze, wsparci na laskach, spoglądają ku czworobokowi.

— To już całe dwa lata — mówi ktoś w głębi.

Coraz staje na progu żołnierz w pełnym rynsztunku, salutując mokremi palcami i z chrzęstem rzemieni przepycha się do izby. To jeden z tych najstarszych, który służy od początku. Wchodzi do izby.

Komendant pół leży na łóżku, z rękami zarzuconemi pod głowę patrzy przed siebie.

W kącie izby przy oknie na pudle piśsze ppor. Nałęcz-Korzeniowski małe dyplomy odznaki »za wierną służbę«.

Jest blady i wzruszony, oczy mu wpadły jeszcze głębiej. Jego zimne ręce nabrały w szarym blasku dnia niebieskich odcieni. Przyjechał brygadjer Haller ze swymi oficerami. Utykając, zmierza do izby.

Przybyli już: pułkownik Roja, podpułkownik Norwid-Neugebauer, major Brzoza, major Mężyński i oficerowie ze wszystkich trzech brygad na nabożeństwo. W środku czworoboku stanęli pułkownicy z Piłsudskim.

Na czele kadrówki major Bukacki.

W szeregu między kadrowcami stanęli oficerowie, — dawni szeregowcy tej kad-

rówki, pierwszy oddział polski od roku 1863-go z bronią w ręku idący jawnie! Człek w człeka — stara wiara.

Do cichej mszy, którą odprawiał kapelan Żytkiewicz, przygrywała orkiestra.

Deszcz cieniutkimi strugami po trąbach ściekał, wiatr wyrywał muzykantom partycje z ręki, czworobok piechoty grążył się w coraz gęstszej mgle. Zatarły się linje wyraźne. Widać było w ulewie dwie szare smugi infanterji. Przy ołtarzu z gałęzi sosnowych jak blady płomień błyszczał złoty ornat księdza.

Chmury szły szarym pędem, deszcz ciął z ukosa. Zaiste, nic prawdy tych ludzi nie mogło tak wyrazić, nic wierniejszego charakteru nie mogło nadać uroczystości, nic nie mogło odtworzyć snadniej ducha naszych losów — jak owa jesień w środku lata szumiąca.

Za wierną służbę: — Za gorliwość żarliwą, za wszystkie marsze, bitwy, za tyle szturmów, za całą mordęgę wojenną — mały żelazny, wpisany wkoło krzyż, a na ramionach krzyża inicjały dowódcy i od-

działu. To co jest w szeregu najdumniejsze: inicjał wodza i wojska, rozkazu i posłuszeństwa.

Komendant przypiął odznakę pułkownikowi Sosnkowskiemu, patrolowi Beliny, kompanji kadrowej.

Salutował — z oczu żołnierzy płynęły łzy.

Po rozdaniu odznaki, wręczył pułkownik Sosnkowski Komendantowi od oficerów I-szej Brygady pamiątkową szablę.

Rozpoczęła się defilada.

Pod dźwięki marsza, z którym się szło od Krakowa po Styry, od Krakowa do Besarabji, — ruszył pierwszy patrol, kadrowka, kompanja honorowa II-giej brygady, — cała piechota.

Maszeruje — i wszystkie walki z nią!

Za piechotą, — baterje, szwadrony.

Oddział i pułkownicy przy Piłsudskim stojący, pod pędem chmur, — jak starej prawdy objawienie: o samotnym w tej Polsce żołnierzu.

K O N I E C

SPIS RZECZY

	Str.
Wbrew wszystkiemu za wszystko . . .	7— 15
Józef Piłsudski	16— 22
Piłsudczycy	23— 27
Podpułkownik Sosnkowski	28— 29
Major Śmigły	30— 31
Kapitan Berbecki	32— 34
Ułani	35— 36
Sławek	37— 39
Kapitan Śniadowski	40— 42
Kapitan Brzoza	43— 44
Sieroszewski	45— 49
Doktor Rouppert	50— 51
Jur - Gorzechowski	52— 53
Doktor Kukiel	54— 56
Grudziński	57— 58
Satyr - Fleszar	59— 60
Doktorzy I-szej Brygady	61— 66
Kolumna	67— 73
Kawalerja I-go Legionu	74— 76
Gospodarka I-ej Brygady Legionu	77— 83
Kwatery	84— 99
Bitwa pod Łowczówkiem	100— 113
Lista strat	114— 120
Nowy Rok w polu	121— 125
Okopy	126— 135
Nasze listy	136— 140
Imieniny Komendanta	141— 150
Słoma	151— 157
Przejsie I-szej Brygady przez Nidę	158— 164
Po drodze	165— 172
Bitwa pod Konarami	173— 196
Nabożeństwo po bitwie	197— 199
Podwieczorek po bitwie pod Konarami	200— 205
Defilada	206— 210
Pierwsza rocznica	211— 215
Przywitanie miasta	216— 218
Rocznica Czwartaków	219— 226
Wielkanoc w polu	227— 232
Pod Kołodziejami	233— 273
Za wierną służbę	274— 278



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 313711



000-313711-00-0

